

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 2 (173)

LUBIN

2025 r.



Prace porządkowe prowadzone na ul. Średniej w Świrzu przez członków miejscowego „Związku Strzeleckiego”, wrzesień 1937 r. Mężczyźni po prawej stronie płotu (od lewej): 1 - Antoni Szuter, 2, 3 - NN, 4 - Jan Steitz, 5 - Józef Kuchmistrz 6 - Józef Szuter.

Fot. M. Buczko. Zdjęcie z archiwum redakcji.

Szanowni Krajanie,



o tragicznego zdarzenia doszło 15 listopada 2022 r. o godzinie 15:40 w obrębie suszarni zboża, działającej na terenie dawnego Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Przewodowie. W wyniku wybuchu rakiety zginęły dwie osoby (Bogusław Wos, Bogdan Ciupek) pracujące na terenie suszarni, a także został zniszczony jeden z budynków zakładu.

Nadal nie jest pewne, do kogo należała i skąd dokładnie została wystrzelona rakietą. Według najbardziej prawdopodobnej teorii był to pocisk ukraińskiej obrony powietrznej. Tego dnia bowiem na naszych wschodnich sąsiadów spadał zmasowany rosyjski atak.

Aby w pełni potwierdzić tę możliwość potrzebna jest opinia biegłych, na którą pracują oni od kilku miesięcy. Do zakończenia prac potrzebna jest jeszcze informacja ze strony ukraińskiej, której nadal brakuje. Ukraińcy zdecydowanie zaprzeczają twierdzeniom Polski, USA i NATO, że wybuch miał związek z rakietą ukraińskiego systemu obrony.

Jeżeli eksplozja ukraińskiej rakiety była wynikiem nieszczęśliwego wypadku, w śledztwie biegli muszą potwierdzić, skąd i przez kogo została wystrzelona. Potrzebne są informacje od Ukrainy, ale ta nie odpowiada na pisma ślone przez polskich śledczych. Czy Ukraina obawia się skutków prawnych, finansowych, czy też jest to już pycha imperialna? Przyjęte stanowisko tego państwa jest co najmniej zastanawiające. Dla dobra sąsiedzkich narodów sprawa powinna być natychmiast uregulowana, bez czekania na lepszą okazję polityczną.

Lubin, luty 2025 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 173

Str.

3. Kartka z pamiętnika. Wł. Zawadzki. Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (VI).
16. J. Gała. Do Wysockiego.
17. J. McBride. Kto się boi ukraińskiego nacjonalizmu? (I).
23. Notatki z powiatu w gazecie „WSCHÓD” (IV).
25. Wspomnienia Żydów cz. III (Lipa Stricker).
29. Ks. W. Puchalski - proboszcz w Wyżnianach.
33. J. Wyspiański. Wykazy osób z parafii świrskiej deklarujących wstrzeмиężliwość w spożyciu alkoholu (I).
37. J. Kamiński. Udział wicyniaków w likwidacji band UPA (II).
40. Uwagi na temat twórczości Antonio Tavelliego.
41. Bal w Czortkowie.
43. Listy do redakcji.
46. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst pochodzi z książki Władysława Zawadzkiego „Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia.” Rozmowę z autorem przeprowadził i wstępnie zredagował p. Janusz Rozwadowski. Redakcja dziękuje wydawnictwu Poligraf i p. Januszowi Rozwadowskiemu za zgodę na powielenie wspomnień w naszej gazecie oraz dokonanie wielkich skrótów tekstu.

Władysław Zawadzki

Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (cz. VI)

Rozdział XV. Rok 1953.

[Kiedyś było inaczej niż teraz. Ludzie nie byli tak wyrachowani. Ludzie się kochali i nie było ważne czy szkoła już skończona, czy jest stała, wymarzona praca, czy mam już odpowiednie stanowisko, czy mieszkanie pięknie umeblowane i czy konto w banku jest pełne. Rodzące się dzieci były owocem miłości. Dwunastego kwietnia 1953 roku na świat przyszedł Juliusz Zawadzki, pierwszy syn Gertrudy i Władysława. Młodzi rodzice byli bardzo szczęśliwi. Odnależli się na nowej ziemi, w nowej rzeczywistości. Pokochali się. Postanowili być razem na dobre i na złe. Oboje urodzeni i wyrosli na Kresach Rzeczypospolitej. Niby podobni ale jakże różni. Młodzi ludzie z bagażem przeżyć, które szybko kazały stać się dorosłym i bagażem wspomnień, często nie pozwalających przespać spokojnie nocy. Wychowani w innych warunkach i odmiennej tradycji. Oboje przeżyli okropności jakie niesie wojna. Każde z nich wiedziało, co to jest głód, głód trwający tygodniami, miesiącami. Każde z nich wiedziało, co to jest strach przed utratą życia swojego lub bliskich, co to jest walka o przetrwanie jeszcze jednej godziny, jeszcze jednego dnia. Nie mieli nic, co w obecnych standardach pozwala na powiększenie rodziny. Mieli siebie, mieli ogromną chęć do życia, dysponowali nieprawdopodobną energią i wolą tworzenia i budowania. Tato Julka kontynuował wymarzone studia na Akademii Medycznej, mama jego również studiowała. Podjęli trud wychowania syna. Ten dodatkowy obowiązek nie przeszkodził w realizacji marzeń i dążeniu do

celu. Władysław wiedział doskonale kim chce w życiu być, jego żona też pragnęła zostać lekarzem. Oboje nieprzeciętnie uzdolnieni potrafili pogodzić obowiązki rodzicielskie z obowiązkami studenta. Nie można tutaj przecenić roli rodziców Gertrudy. Zajęli się z miłością i oddaniem swoim pierwszym wnukiem. Bardzo pomagali w tym trudnym okresie młodym rodzicom. J. R.]

Rozdział XVI. Rok 1957.

[W roku tym powiększyła się rodzina państwa i Gertrudy Zawadzkich. Szesnastego lipca urodził się Zbigniew. J. R.]

Jak już jesteśmy przy moich synach, to muszę coś powiedzieć. Popełniłem tutaj błąd. Nie miałem czasu zajmować się rodziną. Ustaliliśmy na początku, że ja będę pracował, rozbudowywał, zdobywał pieniądze, a żona nie będzie zajmowała się ordynatorami, pracą zawodową i tak dalej, tylko domem i dziećmi. Ale kobiety, jak to kobiety, idą dalej. Praca lekarza wymaga jakiegoś zaangażowania. Dla przykładu: ja wstawałem rano, przed szóstą, chwila z psem i na siódmą musiałem być w szpitalu. O siódmej piętnaście odprawa, praca, operacje. Gdy wychodziłem do pracy, to dzieci spały. Był szpital, potem przychodnia. Jak przychodziłem do domu, już była godzina piętnasta. Czekał już na mnie tłum pacjentek. Ubierałem się w fartuch, idąc przez pokój, zjadałem jakąś zupę, i do gabinetu. Takie to było tempo. W gabinecie pracowałem do dziesiątej, jedenastej. Jak kończyłem, to synowie znowu spali. Widziałem ich w niedzielę, jak nie miałem dyżuru. Spotykaliśmy się rzadko, więc wpływ mój na wychowanie był żaden. Była gosposia, pani Lorencka, która właściwie dla świętego spokoju pozwalała im na wszystko. Jak to młodzi, mieli swoje różne wybryki. Co prawda nie było jakichś specjalnych kłopotów. W każdym razie nie mieli tego wzorca ojca. Nie przebywałem z nimi. Kiedy miałem wolne, wyjeżdżaliśmy gdzieś za miasto. Oni widzieli ojca zawsze zapracowanego. Starszy Juliusz powiedział nawet, że nigdy nie będzie lekarzem, nigdy nie pójdzie na medycynę. Podobnie młodszy, też poszedł na medycynę i został lekarzem. Jak to dzisiaj widzę, nie było to w porządku. Nie miał się kto zająć tymi dziećmi tak naprawdę. Bo nie wystarczy dać jeść, ubrać. Trzeba z nimi być, rozmawiać, podpowiadać, wychowywać. No bo kto ma wychować? Szkoła? Szkoła ma swoje prawa, wymagania. Nie zawsze szkoła jest wychowawcą. Rodzice są od wychowania, a szkoła ma

wspierać.

Popelniliśmy błąd, zajmując się głównie pracą. Ja zawsze miałem wiele satysfakcji z pracy. Miałem poczucie spłacania długu wobec tego lekarza, który w dzieciństwie uratował mi życie. Byłem oddany pracy bez reszty, inaczej nie potrafię (gwiazdy?). Gdybym mógł wrócić do tamtych czasów, to inaczej bym zrobił. Przeorganizowałbym to. Prawdopodobnie



Władysław Zawadzki,
fotografia z roku ok. 1960.

nie pozwoliłbym żonie pracować. Jej zadaniem byłyby dzieci. To jest rola matki. Pan Kwaśniewski też o tym pisze. Wychowanie potomstwa to rola kobiety. Tak było od pokoleń. Mężczyzna był zdobywcą pożywienia, a matka pilnowała ogniska. I ta zasada się nie zmieniła. Warunki się zmieniają, ale sens jest ten sam. Matka ma zajmować się wychowaniem i domem. Zaniedbałem tę sferę swojego życia, nie dopilnowałem właściwie tej sprawy i mam wyrzuty sumienia z tego powodu. Dzisiaj widzę, że to wszystko nie ma takiej wartości, jeżeli ich nie ma. Nie ma dla kogo i nie ma po co. Po czasie widzę, że najważniejszą w życiu sprawą jest utrzymanie rodziny, tego ogniska, tej przystani, do której każdy wraca, gdziekolwiek by poszedł.

Wraca do tego schronienia. To jest najważniejsze. Mam żal do siebie, że nie miałem czasu dla swoich dzieci. Zawsze inne rzeczy były ważniejsze, czy to nauka, czy praca zawodowa, czy praca społeczna. To było na pierwszym miejscu i teraz mam do siebie żal, coś zaprzepaściłem. Wydaje mi się, że synowie potrzebowali mojej obecności, mojej uwagi dla nich. Amnie nie było.

* * *

Zdawałem kiedyś egzamin u profesora Marciniaka, egzamin z anatomii. Do profesora Marciniaka chodziło się obowiązkowo w czarnym garniturze. I stało się tak, że woźny pomylił coś z listami i ja, mimo że miałem nazwisko na „Z”, zostałem wyczytany w pierwszej kolejności. Jeszcze nie zdążyłem zacząć się denerwować, a już słyszę swoje naz-

wisko. Wchodzę z innymi, było to, jak pamiętam, drugiego lutego, pełen niepokoju i obaw. Niejeden student padł na anatomii. Wydaje mi się, że jestem przygotowany, solidnie pracowałem, ale niepokój i nerwy są. Padają pytania. Idzie zupełnie dobrze. Dostałem do omówienia jądro podstawy mózgu. Zaczynam referować dość szczegółowo i obszernie. Profesor stopuje mnie, mówiąc, że za szeroko, za obszernie, za szczegółowo. Patrzę po twarzach kolegów. Wyglądają jakoś blado, jest zima, żadnej opalenizny, a tu jeszcze te czarne garnitury podkreślają bladłość twarzy. Myślę: Czy ja też tak blado wyglądam? Nagle profesor Marciniak mówi:

- Co to za czasy? Co to za czasy? Przychodzi taki na egzamin blady, wystraszony, obkuty. Chciałby wszystko od razu powiedzieć. Za moich czasów było inaczej. Ja wieczorem przed egzaminem szedłem na bal, balowałem całą noc, rano kładłem się spać, jak się wyspałem, szedłem załatwiać nowy termin. A dziś? Jeden z drugim boi się, że straci stypendium, musi zdać celująco!

Taką gadkę wstawił profesor, ale zdaliśmy wszyscy celująco.

Egzaminy to często był los szczęścia. Miałem taką sytuację z patologii, z anatomii patologicznej. Na wydziale było profesorskie małżeństwo Kowarzyków. Zapisałem się na egzamin w terminie przedwczesnym. Była nas dość liczna grupa, osiem osób. Tak się złożyło, że siedem kobiet i ja, jedyny mężczyzna. Jest pierwszy czerwca. Czekamy dość długo pod drzwiami gabinetu. Było tak zrobione, że za tymi drzwiami były drzwi oddzielne do gabinetu profesora i oddzielne do gabinetu pani profesor. Przychodzi pani profesor. Dziewuchy wpadły do środka energicznie, zajmując miejsca pod drzwiami profesora. Okazało się, że w tym dniu będzie egzaminować tylko pani profesor. Było wiadomo, że u profesora łatwo się zdaowało, natomiast u pani profesor zdać było bardzo trudno. Wcześniej kolega ostrzegł mnie, że pani profesor jest bardzo wrażliwa na zachowanie, ocenia nie tylko wiedzę, lecz również sposób bycia, inteligencję. Wziąłem sobie do serca to, co mi kolega powiedział. Nie rzuciłem się z innymi, czekam spokojnie, wszystkie dziewczyny już pod drzwiami profesora. Pani mówi do mnie:

- Proszę, niech pan wchodzi.

- Nie, pani profesor pierwsza!

Ona zdziwiona wchodzi, ja za nią zamykam drzwi i otwieram przed nią drzwi. Weszła i zaprosiła wszystkich do siebie, jest duży stół, siadamy dookoła. Zaczyna pytać po kolei. I dziwnym trafem pytania są

w większości z fizjologii, a nie z patologii. Fizjologię miałem opanowaną dość dobrze i odpowiadałem na zadawane pytania. Dla większości zdających zadawane pytania są nietrafne. Ktoś coś mówi, ale niewystarczająco, pytanie przechodzi na następnego, nic, na następnego, też nic, dochodzi do mnie i ja odpowiadam satysfakcjonująco dla pani profesor. Po kolejnych kilku pytaniach pani profesor oświadcza, że to jakaś pomyłka, nie wie, dlaczego pani zapisały się na termin przedwczesny, że jedynie ja jestem przygotowany. Słucham i jest mi głupio. Jak czekaliśmy pod drzwiami, to mówiłem koleżankom, że nie jestem zbyt przygotowany, bo zdawałem farmakologię i nie miałem czasu na odpowiednie nauczanie się. Prosiłem, żeby nie śmiały się ze mnie. Pani się dość wkurzyła, beszta dziewczyny, mnie jest głupio. *Summa summarum* ja jedyny zdałem. Na to wszystko wchodzę jej w zdanie, mówiąc, że jeżeli zdałem, to czy mogę już iść, bo mam pociąg do Legnicy, skąd dojeżdżam. To dołało oliwy do ognia:

- Proszę bardzo! On dojeżdża i potrafił się nauczyć.

Mnie coraz bardziej głupio. Najważniejsze, że dostałem „dobry” i miałem już spokojną głowę z tego przedmiotu.

* * *

Zdawałem ginekologię. Miałem ją zdawać z kolegą Kułaczkowskim. Pewnego razu idę na śniadanie i spotykam jednego koleżkę:

- Słuchaj! Idę na egzamin z ginekologii. Chodź ze mną. Zobaczysz, jak to idzie.

Pomyślałem sobie, może warto pójść. Giełda, zobaczę, o co pytają i tak dalej. Poszedłem z nim. Ten kolega pracował w dziekanacie. Przychodzę pod salę, nie jestem w żaden sposób przygotowany do egzaminu. Wychodzi profesor, wyczytuje nazwiska i słyszę moje nazwisko. Szukam wzrokiem tego kolegi, nie ma go nigdzie. Wchodzę do gabinetu, siadłem w fotelu, głębokim, skórzanym, jestem zdenerwowany maksymalnie. Nagle widzę, że po tym fotelu spod mojej ręki cieknie woda. Mimo nieprzygotowania udało mi się zdać ten egzamin. Kosztowało mnie to jednak sporo potu. Wyglądało na to, że ten kolega chciał mnie zrobić.

* * *

Po drugim roku zdawało się egzamin z fizjologii. Przedmiot ten wykładał profesor Kliniecki. Stary lwowiak, bardzo znany, publikował swoje prace nawet w pismach zagranicznych. W jego gabinecie przebywał piesek. Na egzamin wchodziły grupy pięcioosobowe. Studenci zasiadali wokół okrągłego stołu, profesor siedział za biurkiem. Leżący na kanapie

piesek schodził i obwąchiwał poszczególnych zdających. Jeżeli przy którymś mruknął albo szczechnął, ten przeważnie już nie zdawał egzaminu, profesor go oblewał. Studenci bali się. Niektórzy brali ze sobą kawałek kiełbasy, żeby pieska „przekupić”. Studenci zastanawiali się, o co to chodzi? Co z tym zrobić? Kiedy już byłem znanym działaczem, poproszono mnie, żebym poszedł do „starego”:

- Idź! Tobie już nic nie może zrobić. Dowiedz się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dobra!

Poszedłem do profesora.

- Panie profesorze, mam pytanie. Nietypowe może, niezwiązane z nauką.

- Słucham. Pytaj śmiało.

- Studenci boją się pańskiego pieska. O co to chodzi, że piesek obwąchuje wszystkich i niektórzy nie zdają?

- Panie kolego! Pies ma mądrość człowieka, a właściwie dziecka piętnastoletniego. A niezależnie od tego poznaje się na ludziach, wyczuwa ich charaktery i predyspozycje. Jest, panie kolego, tak, że nie każdy nadaje się na lekarza. Są tacy, którzy mają powołanie i chcą pomagać ludziom, ale są i tacy, którzy nie mają tej misji w charakterze. Ja tego naznaczonego przez mojego pieska za którymś razem puszczy, ale powiem mu: ty nie pchaj się na medycynę, nie będziesz dobrym lekarzem, nie masz powołania - zostań naukowcem.

Rozumiem teraz postępowanie tamtego profesora. Lekarz to powołanie, lekarz to służba, a to wymaga specjalnych cech charakteru upoważniających człowieka do tego powołania, do tej służby. Profesorowie, z którymi stykałem się na studiach i później, już pracując, wiele uwagi poświęcali zagadnieniu powołania lekarskiego, oddaniu się służbie dla dobra pacjenta. Podkreślali, że ginekolog powinien swoim postępowaniem i uwagą szczególnie otaczać ciężarną pacjentkę, bo tym samym dba o dwoje, a często troje lub więcej ludzi. Profesorowie: Nowosad, Jabłoński, Krzysztoporski, to byli ci, którzy często nas na to uczulali.

* * *

Egzamin z mikrobiologii. Byłem obkuty. Lubiłem mikrobiologię. Preparaty rozpoznawałem w mig, każdy, kto czegoś nie wiedział, pytał mnie. Asystent mówił, że dla profesora przyjemnością będzie rozmowa ze mną na egzaminie. Ale, niestety, zostałem odesłany z kwitkiem. A było to

tak. Wchodzi nas grupa, chyba pięciu, do gabinetu profesora. Profesor siedzi za biurkiem, pali papierosa, nam każe siadać na krzesłach. Nagle jeden ze studentów pyta:

- Czy można zapalić?

Profesor odpowiada:

- Proszę bardzo!

I wszyscy sobie zapalają. Ja nie palę. Sala cała w dymie. Zaczyna pytać. Słabo idzie, mało kto odpowiada. Dochodzi do mnie, ja odpowiadam. Naraz któryś wdał się w dyskusję. Profesor zdenerwował się i powieźdzał:

- Proszę panów! Proszę zapisać się na następny termin. Wszyscy! I wyszedł. Po tygodniu zdawałem ponownie i dostałem piątkę. Ale przez fakt, że studenci chcieli sobie popalić, zostałem wyrzucony.

* * *

W czasie praktyki lekarskiej na studiach miałem taką historię. Doktor Chojnacka była ordynatorem oddziału wewnętrznego. Wzywa nas kiedyś wszystkich młodych praktykantów, jest ciekawy przypadek. Jest pacjentka, młoda dziewczyna, około osiemnastu lat, leży jakiś czas na oddziale. Jest nas troje stażystów, trzy kobiety lekarki i ja, lekarz mężczyzna. Ordynatorka poleca nam zmierzyć ciśnienie tej młodej pacjentce. Mierzymy wszyscy po kolei. Jedna ze stażystek podaje jakąś wartość, druga podaje inną wartość, ale niewiele różniącą się, trzecia podaje swój pomiar. Mierzę ja.

- I co, panie kolego?

- Pani doktor, ja nic nie słyszę, chyba mam coś z uchem.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Przykro mi! Nic nie słyszę.

Pacjentka była w pełni świadoma, kontaktowa, ale nie można było u niej wysłuchać ciśnienia. Miała jakąś wadę rozwojową naczyń i aparatem nie można było wysłuchać ciśnienia. Pytanie, co te młode stażystki słyszały? Nic nie słyszały. One bały się do tego przyznać. No bo jak to? Prawie już lekarka. Studia ukończone i nie umie zmierzyć ciśnienia? Wydawało się im niemożliwe to, co słyszały albo raczej nie słyszały. Ja ze swoim charakterem, umiłowaniem prawdy, szczerze mówię: Nie wiem! Nic nie usłyszałem. Zaczęło się. Pani ordynator zaczęła przemowę:

- Drogie koleżanki! Co wyście tam słyszały? U tej pacjentki nie ma możliwości zmierzenia ciśnienia. To jedynie kolega Zawadzki miał śmia-

łość przyznać się i powiedzieć prawdę! Kolego! Czy nie zechciałby pan po praktyce zostać na internie?

- Ja, pani doktor, jeszcze nie wiem, co bym chciał.

- Proszę się zastanowić. Ma pan u mnie pewne miejsce.

Taki byłem zawsze i jestem. To chyba przez ten mój znak Zodiaku. Jak coś jest, to jest, jak czegoś nie ma, to nie ma. Dzięki tej mojej cesze charakteru otoczenie wiedziało po jakimś czasie obcowania ze mną, że to, co powiem, to jest przemyślane, oparte na wiedzy i prawdziwe.

* * *

[1957 rok zaznaczył się w życiu Władysława ważnymi wydarzeniami. Ukończył z powodzeniem studia na Akademii Medycznej i ponownie został szczęśliwym ojcem. Starszy syn, Juliusz, ukończył cztery latka. Braciszek bardzo go ucieszył i pokochał od pierwszej chwili to wrzeszczące niemowlę. Władysław czuł się spełniony i dumny. Obowiązki zawodowe, rozpoczęta praca zawodowa, aktywna działalność społeczna pochłaniały go niemal całkowicie. Starał się w tym wszystkim znaleźć czas dla żony, dla synów, dla rodziny. Bracia razem dorastali. Razem się bawili, kochali się. Z racji starszeństwa Juliusz był dla Zbyszka wzorem do naśladowania. Rodziców pochłaniała praca zawodowa. Wychowaniem chłopców zajmowali się dziadkowie, a jak ich zabrakło, to gosposia pod nieobecność rodziców przejmowała ich rolę. J. R.]

Rozdział XVII. Praca w 1958 r.

Celem moim była chirurgia i to najbardziej dążyłem, do tego się przygotowywałem. No ale z chirurgią nie wyszło. Nie wyszło dlatego, że byłem w pewnym sensie związany z doktorem Szulcem, szefem chirurgii w Legnicy. Poznałem go, kiedy jeszcze żona pracowała w szpitalu jako asystentka rentgenowska. Potem byłem tam na stażu po pierwszym roku, po drugim, po trzecim, po czwartym. On powtarzał: Kolego, po studiach do mnie przychodź. Lubiłem nóż, nie bałem się krwi. On na stażach pozwalał mi już na różne zabiegi. Po piątym roku zrobiłem już sam wyrostek, oczywiście w asyście starszego lekarza. Wiedziałem, że będę mógł tutaj się czegoś nauczyć. Po skończeniu akademii idę do doktora Szulca, a on powiada:

- Kolego! Nie mamy etatu.

On był w tym czasie dyrektorem i szefem chirurgii. Mówi mi: -

- Proszę przyjść na wolontariat.

- Ja na wolontariat? Ja ciągnę resztkami sił finansowych, żona też jest na studiach, jest dziecko, nie mogę nie zarabiać.

- Będziesz brać więcej dyżurów.

- Nie mogę sobie na to absolutnie pozwolić.

Pamiętałem z ostatniego etapu praktyki, gdy byłem na ginekologii, [że] miałem tam propozycję zostania. Mówiąc szczerze, ponieważ należałem do ludzi poważnych, to wszędzie gdzie byłem, słyszałem propozycję pracy. Czy to na pediatrii, czy na internie, czy na ginekologii. Nikomu nie obiecałem, mówiłem, że jak skończę naukę, to zobaczymy. Teraz doktor Szulc mi odmawia. Załamałem się.

Tym bardziej, że na studiach jako działacz, starosta grupy i tak dalej byłem związany z profesorem Edwardem Szczeklikiem. Znajomość moja z profesorem Edwardem Szczeklikiem wynikała stąd, że był on prorektorem ds. dydaktyki na AM. Wprowadzanie szóstego roku dla studentów akademii to była jego działka. Idea była taka, żeby studenci szli w tak zwany teren. Większość studentów chciała pozostać po studiach w akademii. Wyznaczono kilka miast, w których miały odbywać się związane z szóstym rokiem praktyki. Były to: Legnica, Jelenia Góra, Wrocław, Wałbrzych. Całe przedsięwzięcie wymagało wielu przygotowań zarówno w akademii, jak i w terenie. W szpitalach, w których miałyby odbywać się praktyki, należało przygotować zakwaterowanie dla studentów, miejsce do spania, wyżywienie. Z upoważnienia profesora Szczeklika prowadziłem rozmowy z dyrektorami szpitali.

W tym czasie przyszło wezwanie na naradę do Ministerstwa Zdrowia w tej sprawie. Z Wrocławia zaproszeni są profesor Szczekliki i ja, jako przedstawiciel młodzieży studenckiej. Dostałem rozkaz wyjazdu, delegację i pojechałem do Warszawy. Wszelkie koszty związane z wyjazdem pokrywała uczelnia. Przyjechałem do Warszawy bardzo wcześnie. Udałem się na ulicę Miodową, tam mieściła się siedziba Ministerstwa Zdrowia. Na portierni zastałem sympatycznego woźnego. Okazało się, że pochodzi z kresów, z Wilna. Pięknie zaciągał po wileńsku. Pozwolił mi wejść do budynku. Z uwagi na porę roku, była zima, luty, ten jego gest miał ogromne znaczenie. Było zimno i mogłem ogrzać się i przebywać w ciepłe. W pewnym momencie wchodzi do budynku jakiś mężczyzna. Ubrany w sztruksowe spodnie, taką samą sztruksową marynarkę, był lekko szpakowaty. Okazało się, że przyszedł do pracy sam pan minister Sztachalski.

Woźny mówi do ministra:

- Ten młody człowiek na naradę przyjechał z prowincji. Z prowincji przyjechał wcześniej i zaprosiłem do budynku, bo przecież zimno jest.

- Witam pana! A skąd pan przyjechał? - zapytał minister.

- Przyjechałem z Wrocławia. Nazywam się Władysław Zawadzki, jestem przedstawicielem młodzieży studenckiej.

- Przyjechał pan wcześniej?

- Tak. Tylko takie miałem połączenie kolejowe. Bałem się spóźnienia. Pan woźny był dla mnie niezwykle grzeczny. Dzięki niemu ogrzałem się i nie zmarzłem.

Nie minęło wiele czasu, przynoszą mi kanapkę, gorącą herbatę. Prawdą jest, że byłem głodny i chętnie zjadłem podaną kanapkę i napiłem się gorącej herbaty. Poczęstunek był wyjątkowo smaczny mimo prostoty. Byłem bardzo głodny. Przyjechali na naradę przedstawiciele wszystkich uczelni medycznych w kraju. Dyskusja była bardzo burzliwa. Głównie dyskutowano nad brakiem funduszy, nad sposobem finansowania przedsięwzięcia, nad możliwościami pozyskiwania pieniędzy. Narada skończyła się późnym popołudniem. Poczytałem notatki, zadawałem również pytania o interesujące mnie kwestie.

Okazało się, że zamiast profesora Szczeklika przyjechał profesor Koniak. Miał prawie dwa metry wzrostu i ważył około stu dwudziestu kilogramów. Rzucał się zdecydowanie w oczy, trudno go było nie zauważyć. Potężne chłopisko. Wiedziałem już w każdym razie, jak ma wyglądać ten szósty rok, jakie wymogi są ze strony ministerstwa, jak to wszystko organizować. Kiedy wychodziłem, profesor Koniak zaczął mnie, mieliśmy przecież razem wracać do Wrocławia. Idziemy, usiłujemy złapać taksówkę. Żadna nie chce się zatrzymać. Jest zimno i śnieżnie. Po pewnym czasie profesor mówi do mnie:

- Ja pójdę do przodu, a ty zostań trochę z tyłu i łap taksówkę.

- A czemu tak?

- Jak będziesz sam, to się zatrzyma.

- Nie rozumiem.

- Jak mnie widzą, to boją się o resory samochodu.

- A, rozumiem!

- Jak już będziesz w taksówce, to pojedziesz do mnie, każesz kierowcy się zatrzymać i ja wsiądę, i pojedziemy.

Tak zrobiłem i dojechaliśmy na dworzec kolejowy. Czekamy. Postanowiliśmy coś zjeść. Idziemy do dworcowej restauracji. Podchodzi kelner. Profesor zamawia zupę i dwa drugie dania, ja zamawiam zupę i drugie. Ze zdziwieniem pytam profesora:

- Czy jeszcze ktoś będzie z nami jadł?

- A co ty myślisz, że jedna porcja mnie nasyci? Że jeden kotlet mi wystarczy?

Zrozumiałem, że profesor lubi dużo zjeść. W końcu kawał chłopa.

W czasie jedzenia rozmawiamy:

- Zdawałeś u mnie zakaźny?

- Tak, zdawałem.

- A jaki stopień dostałeś?

- Dostateczny.

- Jak to dostateczny?

- A tak to! Przyszedłem z grupą, było nas pięciu. Ci czterej przede mną dostali bardzo dobre. Jak doszło do mnie, pan profesor powiedział: Co to za grupa? Same bardzo dobre? I mnie pan już nie pytał z zakaźnych, tylko z laboratorium. Ja z laboratorium nie byłem zbyt dobrze przygotowany, nie byłem przygotowany z analiz, syntez. I dostałem tróję.

Wysłuchał i powiedział:

- Przyjdź do mnie. Poprawimy tę tróję.

- Dziękuję, panie profesorze. Mnie wystarczy dostatecznie. Dla mnie najważniejsza jest chirurgia, a z niej mam bardzo dobrze.

Przyjechał nasz pociąg. Wsiadliśmy. Profesor do pierwszej klasy, ja do drugiej. Szczęśliwie dojechaliśmy do Wrocławia. Prawda jest taka, że profesor Szczeklik nie miał serca do spraw organizacyjnych związanych z szóstym rokiem. Scedował wszystko na profesora Koniaka i na mnie.

Będąc na piątym roku,



Autor wspomnień (z prawej) z kolegą po pochodzie pierwszomajowym w Legnicy.

rozpocząłem bardzo bliską współpracę z profesorem Szczeklikiem. Wynikało to głównie z faktu, że studenci nie chcieli iść w teren, na prowincję. Większość miała tu akademiki, byli w jakiś sposób zagospodarowani, a tam czekało ich niewiadome. Jakieś łóżko, jakaś stołówka, jacyś chorzy. Kontaktowałem się z nim zwłaszcza wtedy, gdy ktoś złożył skargę, że go wyznaczono na praktykę w teren. Byłem wtedy wzywany przez sekretarkę i wyjaśniałem sytuację. Nie wiem, jak to się dalej toczyło, a mnie po prostu wysłuchał i dziękował. Mógł być wzorcem do naśladowania.

Książki, które przeczytałem: „Słuch absolutny”, „Kore”, przypomniały mi moje czasy studenckie i postać profesora Edwarda Szczeklika. Profesor i jego syn Andrzej, też profesor medycyny, byli ludźmi z zupełnie innej bajki niż ja. W żadnym calu moje korzenie, moje życie przed studiami nie może równać się z poziomem życia rodziny Szczeklików. To była inna klasa ludzi. Inteligencja z dziada pradziada, z tradycjami w pełnym tego słowa znaczeniu. Dla tych ludzi środowisko akademickie, naukowe, polskie i zagraniczne to była codzienność. A ja? Cóż! Z roli wyrosłem. Co prawda z górnej półki roli, z ziemiaństwa, ze szlachectwa, ale z ziemi. To nowa rzeczywistość, Polska Ludowa, pozwoliła mi dostać się do ich świata. Powoli, mozolnie piąłem się na nieznane wyżyny.

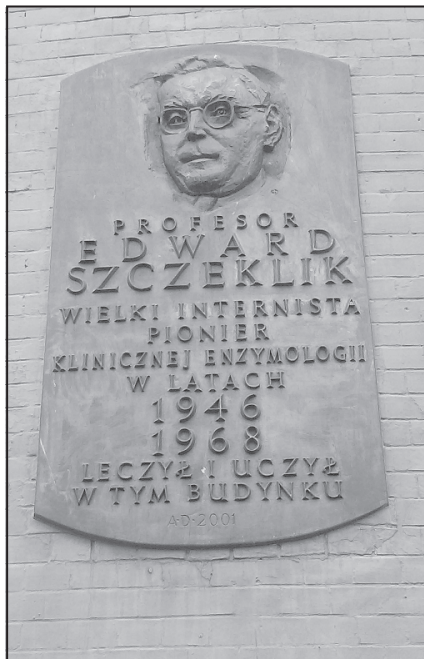
* * *

Profesor wszystkich, co mieli coś do załatwienia, odsyłał do mnie i czuł się w związku z tym wobec mnie jakoś zobowiązany. Ja w miarę swoich możliwości załatwiałem wiele spraw. Bywało, że jeździłem nawet do ministerstwa z jego zastępcą, jako działacz. Szczeklik najpierw chciał, żebym zdawał u niego egzamin. Nie chciałem, bo obawiałem się, że jak czegoś nie będę wiedział, to będzie głupio. Wolałem u innych zdawać. W rezultacie profesor Szczeklik zaproponował mi, że mogę sobie wybrać u niego jaką chcę klinikę, że mogę u niego pracować jako asystent.

- Panie profesorze, bardzo dziękuję, ale jestem już związany z Legnicą, mam tam mieszkanie, obiecaną pracę.

- Kolego, błąd robicie! Jak pan zostanie we Wrocławiu, to w każdej chwili będzie mógł się pan przenieść do Legnicy. Ale jak pan będzie w Legnicy, to nikt pana nie poprze, żeby pan dostał się do kliniki we Wrocławiu.

Upierałem się przy swoim. Tam miałem mieszkanie, obiecaną pracę. Powiedziałem też Szulcowi, że będę u niego pracował, to nie mogę teraz zmienić zdania. Trudno! Odmówiłem profesorowi.



Tablica ku czci prof. Edwarda Szczeklika we Wrocławiu.
Foto: Och58. Źródło - Wikipedia.

Wyniosłem z domu niepodważalne zasady wynikające ze szlachectwa. Szlachcic nigdy nie kłamie. Kłamstwo jest dyskwalifikacją. Można przemilczeć pewne rzeczy, ale nie można posługiwać się kłamstwem. Prawdomówność to jedna ze świętości szlachectwa. Chłop może kłamać, ale szlachcic nigdy. Szlachcic złapany na kłamstwie jest w swoim środowisku traktowany gorzej od chłopca. Chłopu i tak nie dawało się wiary, mógł sobie kłamać. Starłem się żyć zgodnie z ideałami szlachectwa. Mam naturę człowieka dokładnego w tym, co robię, nigdy po łebkach. Często inni oceniali mnie, że się grzebię, coś robiąc, a ja po prostu musiałem zawsze dokładnie. Kosztowało mnie to zazwyczaj więcej pracy, więcej czasu poświęcałem na jakieś zadanie niż inni. Nigdy

nie odwaляłem fuchy. Zdaję sobie sprawę, że ta cecha charakteru utrudnia życie, ale cóż poradzić, muszę z tym żyć.

A tu, jak co do czego, to Szulc proponuje mi wolontariat, mówi, że nie ma etatu. Trochę mnie wkurzył i zaskoczył. Ale nie mam co zrobić. Siedzę zmartwiony. Przychodzi doktor Gelewski, szef ginekologii. Poznał mnie wcześniej trochę na praktykach. A ja myślę sobie szybko, że ginekologia dałaby mi kontakt z nożem, a może potem przeniosę się na chirurgię. Pytam go:

- Może mógłbym u pana pracować?
- Nie ma sprawy! Proszę pisać podanie.

Napisałem podanie i zostałem przyjęty na ginekologię. W tym czasie doktor Gelewski wyczuł, a może ktoś mu doniósł, że ja pracę u niego traktuję jako tymczasową. Po upływie miesiąca wzywa mnie i pyta:

- Kolego! Kim pan chce być? Ginekologiem czy chirurgiem? Jak pan chce być chirurgiem, to proszę się zwolnić, bo ja mam teraz możliwość przyjęcia asystenta. Jeżeli pan chce być ginekologiem, to proszę mi to napisać jasno i wyraźnie, że chce pan robić specjalizację z ginekologii.

Nie mam wyjścia. Napisałem. Powiedziałem „a”, to muszę powiedzieć „b”. Należałem zawsze do osób odpowiedzialnych. Robiłem na oddziale rzeczy, które umiałem, a czasem były to rzeczy, których bali się starsi koledzy lekarze. Bali się podjąć ryzyko. Udawało mi się wszystko. I tym sposobem zostałem ginekologiem. Znowu zadziałał przypadek, jak wiele razy w moim życiu.

Cdn.

Jadwiga Gala

Do Wysockiego

Obiecałeś że wrócisz
Nie minie pół roku
znów zaśpiewasz

Gdy niebo
nie wydaje dźwięku
jak pęknięta
czarna porcelana

Ty Uderz W Struny

Przekroczyłeś
horyzont widzialności
ale słuch to zmysł
co zanika najpóźniej
może wcale nie ginie

Wysłuchując się w ciszę
CZEKAMY

Red. Na stronie The Euranian Knot [euraknot.org/wp] znajduje się wypowiedź amerykańskiego naukowca o problemach Ukrainy z historią. Za kadencji Wiatrowycza w 2017 roku ukraiński IPN oświadczył, że w związku z brakiem reakcji władz Polski na niszczenie znajdujących się na jej terytorium ukraińskich miejsc pamięci narodowej, wstrzymuje legalizację polskich upamiętnień na Ukrainie. To zostało podtrzymane w 2023 r. przez Drobowycza, szefa ukraińskiego IPN. Ponadto wypowiedź prezydenta Ukrainy Żelenskigo o „oddaniu holdu wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia” nawiązuje bezpośrednio do sformułowania Wiatrowycza o „wojnie polsko-ukraińskiej”. Zapewne prezydent w chwili obecnej nie pragnie dzielić społeczeństwa ukraińskiego. Może warto przypomnieć stanowiska naukowców wyrażone kilka lat temu. Ze względu na szczupłość miejsca nie zostały umieszczone przypisy. Tłumaczenie własne.

Jared McBride

Kto się boi ukraińskiego nacjonalizmu? (cz. I)

Ostatnie wiadomości prezentują Ukrainę i jej perspektywy jako dramatyczne, często do głosu dochodzi również tragiczna przeszłość. Jednym z jej kontrowersyjnych aspektów jest historia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). W okresie zimnej wojny ukraiński ruch nacjonalistyczny pierwszej połowy XX wieku był energicznie broniony przez uczonych diaspory w Ameryce Północnej i na Zachodzie, mówiąc bardziej ogólnie, podczas gdy sowieckiej prasie i literaturze był przedmiotem nieustannych i często hiperbolicznych denuncjacji.

Od 1991 r. na Ukrainie wraz z archiwami otworzyła się bardziej dyskursywna przestrzeń, co umożliwiło ponowną ocenę różnych aspektów ruchu, w tym fundamenty teoretyczne, zwłaszcza w odniesieniu do: skrajnie prawicowego radykalizmu i faszystów w Europie międzywojennej, jego kooperację z nazistowskimi Niemcami, zastosowanie przemocy przeciwko mniejszościom narodowym Ukrainy, a nawet innych Ukraińców; związków z wywiadem Stanów Zjednoczonych po wojnie oraz badań biograficznych przywódców i myślicieli ruchu. W ciągu ostatnich pięciu do dziesięciu lat wielu naukowców napisało nowe i integracyjne

prace, zajmujące się szeregiem kwestii dotyczących ukraińskiego nacjonalizmu.

Jednocześnie istniała tendencja do definiowania debaty w ramach surowych parametrów epoki zimnej wojny: na przykład czy OUN i UPA były obrońcami Ukraińców czy masowo mordującymi faszystami.

Dlatego ta ponowna ocena ukraińskiego nacjonalizmu jest wciąż, w znacznej mierze, w trakcie opracowania. W tym kontekście warto podać recenzji trzy nowe książki omawiające różne aspekty ukraińskiego nacjonalizmu z rozbieżnych perspektyw. Są to: napisana przez Grzegorza Rossolińskiego-Liebe biografia Stepana Bandery, najbardziej wpływowego nacjonalistycznego lidera, historia ukraińskich nacjonalistycznych pisarzy i ideologów Myroslava Shkandrija oraz polemiczna publikacja Wołodymyra Wiatrowycza o masowej przemocy między Ukraińcami i Polakami w czasie II wojny światowej. Autorami dwóch książek są uznani naukowcy, Myroslav Szkandrij i Grzegorz Rossoliński-Liebe, trzeciej - najbardziej wpływowej w dziedzinie pamięci narodowej aktywista Ukrainy, posiadacz dyplomu ukończenia studiów historycznych i obecny szef Instytutu Pamięci Narodowej, Wołodymyr Wiatrowycz. Konieczne jest usytuowanie ich prac w kontekstach, w których się pojawiły, obejmujących debaty dotyczące zarówno historii, jak i pamięci ukraińskiego nacjonalizmu [1].

Niedawno wiodący ukraiński historyk Jarosław Hrycak zauważył, że w ciągu 25 lat niepodległości „ukraińscy historycy nie zdołali napisać jednej dobrej biografii” Stepana Bandery, „tematu tak wielkiego zainteresowania zarówno na Ukrainie jak i w Rosji”.

Rzeczywiście, można mówić o nieprzemijającym potencjale wybuchowym tematu Bandery we współczesnych debatach, którego pierwszym historykiem został nie ukraiński, lecz polski historyk wykształcony w Niemczech, Grzegorz Rossoliński-Liebe.

Autor w swoim obszernym studium ujawnia, dlaczego ukraińskie

[1] Grzegorz Rossoliński-Liebe, *Stepan Bandera: The Life and Afterlife of a Ukrainian Nationalist. Fascism, Genocide, and Cult*. 654 s. Stuttgart: ibidem, 2014. ISBN-13 978-3838206042.

Myroslav Shkandrij, *Ukrainian Nationalism: Politics, Ideology, and Literature, 1929–1956*. 344 s. New Haven: Yale University Press, 2015. ISBN-13 9780300206289.

Wołodymyr Wiatrowycz, *Druha polśko-ukrajinska wijna, 1942–1947*. 287 s. Kyjiw: Wydawnyczyj dim Kyjewe-Mohylianska akademija, 2011. ISBN-13 978-9665185673.

społeczeństwo, w tym wielu członków społeczności naukowej tego narodu, wydaje się niechętnie stawiać czoła dziedzictwu najstraszniejszego i najbardziej znanego ukraińskiego nacjonalisty XX wieku. Rossoliński-Liebe zapoznaje czytelnika nie tylko z biografią Bandery, koncentrując się na jego ideach i polityce, ale także analizuje historyczny kontekst ukraińskiego nacjonalizmu, w szczególności OUN i UPA. Ponadto omawia dziedzictwo Bandery od śmierci w 1959 r., śledząc jego kult na Zachodzie i eksport kultu na postsowiecką Ukrainę po 1991 r. Rossoliński-Liebe wykorzystał olbrzymią paletę różnorodnych źródeł, w tym gazety, czasopisma i filmy, dokumenty z 32 archiwów oraz wywiady [z uczestnikami wydarzeń]. Zbadał nie tylko ukraińskie zapisy nacjonalistyczne, ale także „archiwa ciszy” - to znaczy świadectwa ofiar nacjonalistycznej przemocy masowej, rzadko pojawiające się w ukraińskiej historii, zwłaszcza w ideologicznie zaangażowanych projektach, takich jak tomy „Litopysu UPA”.

Czymś uderzającym czytelnika w tej książce jest fakt, że jak na kogoś, kto był zarówno tak intensywnie łżony, jak i czczony, Bandera okazał się taki prozaiczny i nijaki - osiągając niewiele nawet na własnych warunkach [we własnej organizacji]. To prawda, że w latach 1930. i 1940. Bandera spędził wiele czasu zamknięty w Niemczech. [W latach 1930 - w Polsce]. Ale gdy był wolny, nie wykazał się jakąś niezwykłą kreatywnością w formie sprecyzowanej ideologii, być może dlatego, że był zbyt zajęty wzajemnym zwalczaniem się grup nacjonalistycznych i związkami uczuciowymi, oscylującym pomiędzy miłością a nienawiścią, z nazistowskimi Niemcami. Jego powojenny dorobek jest jeszcze mniej imponujący: jeszcze więcej bratobójczego zwalczania się, wysyłanie młodych



Jared McBride jest historykiem Rosji, Ukrainy i Europy Wschodniej XX wieku. Jego badania dotyczą masowej przemocy, Holokaustu, konfliktów międzyetnicznych, ruchów nacjonalistycznych i ścigania zbrodni wojennych. Źródło: Media Guide to UCLA Experts

ludzi w czasie zimnej wojny na samobójcze misje przeciwko Sowietom, aby jak najdrożej sprzedać Zachodowi swoje skompromitowane siatki konspiracyjne, i zalecanie się do byłych nazistów w wywiadzie zachodnioniemieckim.

Jak zatem możemy zrozumieć rezonans Bandery? Jak wyjaśnia Rossoliński-Liebe, jego popularność w ruchu nacjonalistycznym była spowodowana jego bezwzględny fanatyzmem. Światopogląd Bandery, pod żadnym względem w tym czasie nie wyjątkowy, zawierał pogardę dla demokracji, fascynację faszyzmem, rasizmem, eugeniką (skierowaną szczególnie przeciwko Polakom, Żydom i Rosjanom) i antysemityzmem, wezwaniem do rewolucji narodowej (str. 104-115).

Ale to przede wszystkim jego ekstremizm uczynił go nacjonalistycznym liderem. Nawet jako nastolatek Bandera był niebezpiecznie ekstremalny, wbijając „szpilki pod paznokcie, aby uodpornić się na przyszłe tortury” i postrzegając „świat w ... czarno-białych nacjonalistycznych kategoriach” (str. 106). Angażując się w ruch nacjonalistyczny, ignorował tych mniej zaangażowanych (str. 95-96). Później nigdy nie zawahał się zastosować „rewolucyjnego terroru” wobec osób uważanych za wrogów swojej organizacji. Jego niezachwiana wytrwałość, a także konsekwentne dążenie do „sakralizacji polityki i przemocy” zapewniły Banderze szczególną pozycję w ruchu (str. 115).

Będąc z przekonania pravicowym zwolennikiem autorytaryzmu i terroru, Bandera spędził wojnę jako więzień. W związku z tym jego osobista odpowiedzialność za zbrodnie popełnione w jego imieniu i przez jego organizację podczas wojny została zakwestionowana. Tak więc autorytatywne omówienie przez Rossolińskiego-Liebe roli OUN i UPA w czasie wojny być może jest najważniejszą częścią tej ważnej książki. Interpretuje on wydarzenia z 1941 roku na Ukrainie jako „rewolucję narodową” (str. 167-240).⁷

Już w przeddzień niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki OUN-B (kierowane przez Banderę skrzydło OUN, po rozłamie z innym liderem nacjonalistycznym Andrijem Melnykiem w 1939 r.) opracowała plan zatytułowany „Walka i działalność OUN podczas wojny”, precyzyjnie definiujący, że „wrogowie”, „Moskale, Polacy i Żydzi” mieli być „niszczeni w walce”, i deklarujący „dopuszczalność likwidacji niepożądanych polskich, moskiewskich i żydowskich aktywistów” (str. 181, 183). Ukraińcy nie zgadzający się z nacjonalistami byli piętnowani jako „zdrajcy”

i grożono im „terrorem” (str. 181-182, 184). Nowe państwo ukraińskie, wyjaśniała „Walka” OUN-B, będzie rządzone przez OUN pod przywództwem Bandery (str. 187). Na proklamację państwa ukraińskiego przez OUN-B w dniu 30 czerwca 1941 r. naziści [*Niemcy - J. W.*] odpowiedzieli aresztowaniem większości przywództwa, ale Rossoliński-Liebe nie skoncentrował się na tłumieniu sprawy nacjonalistycznej przez Niemców. Zamiast tego zadaje proste i dotychczas zaniedbywane pytanie: jaki był związek między szeroko rozpowszechnianymi nacjonalistycznymi wezwaniami do terroru i przemocy oraz działaniami nacjonalistów podczas wojny? Następnie wykazał, że chociaż Niemcy uderzyli w ukraińskich nacjonalistów, ci ostatni atakowali Żydów i innych etnicznie i politycznie definiowanych „wrogów” we własnym imieniu.

Nawet po rozwiązaniu milicji OUN-B, w służbie niemieckiej pozostało wielu nacjonalistów w charakterze pomocniczych sił policyjnych, aż do czasu, gdy Stalingrad zasygnalizował koniec niemieckiej szczęśliwej passy (str. 256-260).

Co więcej, OUN nie wyraziła żadnego szczerego sprzeciwu wobec uczestniczeniu w siłach policyjnych i zaangażowaniu w Holokaust lub przemoc wobec cywili w ogóle. Badanie Rossolińskiego-Liebe o policji rozwiewa mity, że cała OUN-B przeszła do podziemia przeciwko Niemcom i że jej członkowie nie uczestniczyli w masowych mordach Żydów.

W 1943 r. wielu członków OUN uciekło z kolaboracyjnych sił policyjnych, aby przyłączyć się do świeżo założonej UPA, która nie tylko walczyła z Niemcami i sowieckimi partyzantami, ponieważ przeprowadziła również skoordynowaną kampanię czystek etnicznych Polaków, zabiła tysiące Ukraińców i popełniła akty przemocy wobec Żydów (str. 262-280).

W następstwie ponownej okupacji zachodniej Ukrainy przez Sowieców w 1944 r. UPA prowadziła przeciwko nim wojnę partyzancką, której nieodłączną cechą i znakiem szczególnym była przemoc wobec bezbronnych cywilów (str. 295-309). Ogólnie rzecz ujmując, rozważania Rossolińskiego-Liebe dotyczące odpowiedzialności Bandery za przemoc nacjonalistyczną są słuszne i rozsądne. Nie wiemy zbyt wiele na temat zasięgu kontroli Bandery nad jego organizacją latem 1941 r., przed aresztowaniem. Ale Rossoliński-Liebe wykazuje, że to właśnie on dostarczył instrukcje swojemu przedstawicielowi w kraju, Iwanowi Kłymiwowi. Ponadto Bandera wiedział o przemocy (str. 542).

Jednak w żadnym momencie - ani w czasie wojny, ani po wojnie - nie zdystansował się od niej (str. 239). Choć Bandera nie był na Ukrainie podczas czystek etnicznych w latach 1943 i 1944, nigdy ich nie skrytykował (str. 282). Podczas gdy, zdaniem Rossolińskiego-Liebe, nie jest możliwe obciążenie Bandery „osobistą odpowiedzialnością”, to przywódca organizacji, wzywającej do „oczyszczania” Ukrainy z Rosjan, Żydów i Polaków, ponosi „moralną, etyczną i polityczną odpowiedzialność” za nacjonalistyczne okrucieństwa (str. 411, zobacz także str. 280-282 i 542-543). Rzeczywiście, zeznania Żydów i Polaków często wyrażają ich strach przed „banderowcami”.

Chociaż gdy Rossoliński-Liebe trafnie ujął ideologię i etos ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego i jego przemoc, jest mniej przekonujący w przedstawieniu jego relacji z większą liczbą ludności. Omawiając etniczne czystki Polaków Rossoliński-Liebe pisze, że wielu Ukraińców nie sprzeciwiło się temu i że UPA zmotywowała ich do udziału „rasistowskimi hasłami”. Wspomina rolę „zwykłych Ukraińców” w przemocy etnicznej, ale mówi niewiele o nakłanianiu i motywacji (str. 267).

Chociaż czyni krótkie wzmianki o tym, jak „przypadek” i „przymus” mogłyby przyczynić się do wstępowania przeciętnych Ukraińców do UPA - nie bada tego tematu (str. 539-540). Dla zrozumienia dynamiki ludowego poparcia dla OUN i UPA, zwłaszcza na poziomie mikro, konieczne jest prowadzenie dalszych, pogłębionych badań.

Także terminologia używana przez Rossolińskiego-Liebe jest czasem myląca, na przykład użycie terminu „ruch ludobójczy” dla OUN i UPA (str. 28, 38). W pewnym stopniu lub w inny sposób nacjonaści uczestniczyli w Holokauście, ale to nie był ich pomysł ani główny cel. Co więcej, jak twierdzi sam autor, pojęciem najbardziej odpowiednim dla masowych zabójstw Polaków jest „czystka etniczna” (str. 290). Zastosowanie pojęcia „ludobójstwo” w tym kontekście może odwrócić uwagę od rygorystycznej analizy i może być mylone z upolitycznionymi atakami na Ukrainę, o czym wspomina także Rossoliński-Liebe (str. 363-406). W innym miejscu dostarcza przekonujących argumentów dla zrozumienia ukraińskiego nacjonalizmu okresu II wojny światowej poprzez kategorię „faszyzmu”, a nie przez często analitycznie błędnego „integralnego nacjonalizmu”. (str. 456). Rossoliński-Liebe naświetlił kontrowersyjną postać Bandery, tworząc głęboko przebadane i pionierskie studium. W upolitycznionej przestrzeni, przepełnionej ukraińskimi dziełami takimi jak „Dla-

czego kochamy Banderę”, ta książka jest pilnie potrzebna (str. 443, 474). Integrując najnowszą naukę międzynarodową, rzuca wyzwanie dominującym narracjom narodowym. Sygnalizuje również obszary dalszych badań, takich jak kult Bandery i jego powojenny eksport na Zachód, a następnie reeksport z powrotem na post-sowiecką Ukrainę.

Cdn.

Red. Dzięki uprzejmości p. Igora Meggera, redaktora naczelnego „Głosów Podolan”, który przeszedł strony czasopisma „WSCHÓD” i „wyłowił” numery gazety z wydarzeniami dotyczącymi pow. Przemyślany, powstał nowy zbiór interesujących informacji. Bardzo dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że opisy spotkają się z przychylnym przyjęciem.

Notatki z powiatu w gazecie „WSCHÓD” (cz. IV)

Dom strzelecki w Świrzu. W Świrzu, powiat Przemyślany, odbyło się uroczyste poświęcenie Domu Strzeleckiego, w której to uroczystości tłumny udział wzięła również okoliczna ludność. Powszechną uwagę zwracał wielki udział Sokołów z Przemyślan ze sztandarami oraz Sokołów z Bóbrki i Świrza. Po mszy św. i kazaniu odbyła się defilada, którą odebrał starosta przemysłański p. Fr. Mikrowicz w otoczeniu przedstawicieli wojskowości i Związku Strzeleckiego. Z wielką brawurą defilował szwadron K.O.P.-u [*Korpus Ochrony Pogranicza - J.W.*], zbierając rześiste oklaski, dziarsko prezentowała się piechota strzelecka w sile trzech kompanii oraz Sokoli. Defiladę kończyli członkowie Straży Pożarnych. Z kolei wikary ks. Niemczyk dokonał aktu poświęcenia Domu Strzeleckiego, po którym ogłoszono przemówienia. Po południu odbył się koncert orkiestry wojskowej oraz chóru „Bard” z Przemyślan. Uroczystość zakończyła zabawa taneczna. (Nr 106 z 27.11.1937 r.)

+ + + + + + + + +

„Opłatki” w powiecie przemysłańskim. W Ładańcach, powiat Przemyślany, odbył się opłatek staraniem miejscowej kierowniczkii szkoły powszechnej p. Marii Piaseckiej. W uroczystości tej wzięła liczny udział miejscowa ludność oraz goście z Przemyślan. Przybyli: ksiądz proboszcz z Wołkowa, starosta przemysłański p. Fr. Mikrowicz oraz chór „Bard”,

który odśpiewał wiele kolęd oraz pieśni ludowych. Po opłatku odbyła się zabawa w miłym nastroju do późnych godzin. Podobne uroczystości odbyły się także w innych miejscowościach powiatu przemysłańskiego, urządzone przez organizacje, jak T.S.L., Strzelec i Straż pożarną. (Nr 72 z 20.01.1938 r.)

+ + + + + + + + +

Przemysłany dla armii. Na stadionie Przysposobienia Wojskowego i Fizycznego Wychowania w Przemyslanach odbyła się uroczystość wręczenia trzech ręcznych karabinów maszynowych i 120 pasów delegacji brzeżańskiego pułku piechoty. Dary te ufundowało społeczeństwo przemysłańskie dla mającej się utworzyć kompanii Obrony Narodowej. W uroczystości tej wzięli udział: starosta powiatowy p. Fr. Mikrowicz i mjr Sanak. Imieniem organizacji społecznych w Przemyslanach przemówienie na stadionie wygłosił p. Władysław Malinowski. (Nr 90 z 30.07.1938 r.)

+ + + + + + + + +

Lustracja. Lustracja powiatu przemysłańskiego dokonana przez wojewodę Malickiego. Wojewoda tarnopolski mgr Tomasz Malicki dokonał objazdu inspekcyjnego powiatu przemysłańskiego. Przebywał w następujących miejscowościach: Kurowice, Łahodów, Przemysłany, Borszów, Wypyski, Ciemierzyńce, Dunajów, Wiśniowczyk, Pleników, Lipowce i Dąbrowa. Przeprowadził szereg lustracji zarządów gminnych i miejskich, interesując się gospodarką samorządową, budowlą dróg i wyglądem sanitarnym osiedli. Zwiedzając powiaty poświęcił dużo zainteresowania rozwojowi akcji budowy kościołów, kaplic i domów ludowych. Nie omieszkał p. wojewoda odwiedzić półkolonii dziecięcych w obu powiatach, zapoznając się bliżej z warunkami opieki i wychowania dzieci. (Nr 91 z 30.07.1938 r.)

+ + + + + + + + +

Z Przemysłan. W dniu Święta Niepodległości miasto Przemysłany było bogato udekorowane. O godzinie 9 rano przed gmachem Starostwa Powiatowego zebrali się przedstawiciele władz oraz przybyły tam oddziały Z.S, P.W. [*Związku Strzeleckiego, Przysposobienia Wojskowego - J.W.*], Harcerzy i Straży ogniowej, zebrało się też nauczycielstwo, Sokolstwo oraz tłumy publiczności. Starosta p. Franciszek Mikrowicz po

odebraniu raportu w towarzystwie kpt. Wasilkowskiego udekorował zasłużonych obywateli Krzyżami Zasługi. Między tymi Srebrny Krzyż Zasługi otrzymał p. Klemens Negrusz, dyrektor Powiatowej Kasy Komunalnej. Z kolei nastąpiło uroczyste wręczenie karabinu maszynowego dla Armii, ufundowanego przez nauczycielstwo powiatu przemysłańskiego. Przemówienie wygłosił p. Stanisław Kraus, kierownik szkoły w Dunajowie, a sprzęt wojskowy przejął kpt. Wasilkowski, który złożył serdeczne podziękowanie. Po tym uroczystym akcie obecni uformowali pochód, udając się ulicami miasta do kościoła parafialnego na nabożeństwo. W sali „Sokoła” odbył się następnie uroczysty Poranek, a w wieczór Akademia, którą zagaił dr Włodzimierz Lenkiewicz, prezes O.T.R. [Okręgowe Towarzystwo Rolnicze - J.W.] W części koncertowej miejscowy chór „Bard” pod kierownictwem prof. Romana Lisiaka odśpiewał szereg pieśni. Akademię zakończono odśpiewaniem Hymnu Narodowego. (Nr 105 z 22. 11.1938 r.)

Red. Stronice ze wspomnieniami Żydów zakupiono w Żydowskim Instytucie Historycznym im. E. Rigelbluma w Warszawie. Nie wszyscy autorzy wspomnień pochodzili z pow. Przemysłański. Niektórych los rzucił na jakiś czas na nasz teren. Teksty wspomnień opisujące przeżycia autorów poza obszarem powiatu zostały pominięte. Zachowano oryginalną pisownię. Przy nazwisku podano miejsce urodzenia i miejsca pobytu autorów.

Wspomnienia Żydów (cz. III)

Lipa Stricker (ur. w Dobrzanicy, Wojciechowice, getto Przemysłański, las koło Ostałowic, Wojciechowice, las)

Posiadałem przed wojną folwark w Wojciechowicach w powiecie przemysłańskim. Po przyjsciu Sowietów w 39 r. została część folwarku znacjonalizowana, część zaś wraz z sadem i budynkami zostawiono mi do mego użytku. Gdy Niemcy wkroczyli, wysłałem rodzinę do miasta, bo Ukraińcy pod osłoną Niemców mordowali wszystkich Żydów po wioskach i 3 razy urządzili napad na mnie, ale zdążyłem uciec w porę [1].

W roku 1942 na wiosnę, w czerwcu, przyjechał hauptsturmführer Grzymek Józef ze swoją kochanką Ewą (nazwiska nie pamiętam),

rajchsdojczką i ze swym zastępcą Foksem. Podobało mu się u mnie i spisał ze mną notarialny akt w Przemyślanach u notariusza, że wynajmę jego Ewie kochance sad 5 morgów na 2 lata, zastrzeżone (mit Vorrechtekanf) prawa kupna, ja zaś miałem zostać jako zarządca. Zostałem więc w tym charakterze, owoce mi zabrali, dla mnie nie zostawili ani jednego jabłka. Kiedy Grzymek przyjeżdżał, bił mnie, a najczęściej bił mnie jego szofer, Polak ze Lwowa, Martin Stanisław. To było moją zapłatą. Martin przychodził do mnie do pokoju, bił mnie pałką gumową, kopał i znęcał się nade mną.

Późną jesienią, po zerwaniu owoców, zabrał mi willę, odebrał od chłopów znacjonalizowane pola i połączył je z powrotem. Mnie wypędził razem z parobkiem, z którym dotąd mieszkaliśmy razem, i zrobił się zarządcą, zaś żona moja miała doić krowy. Starą matkę wypędził z domu w tym, czym była na podwórzu i nie pozwolił jej wziąć niczego ze sobą.

Pewnego dnia przyjechał i kazał milicjantowi ukraińskiemu zastrzelić moją bratową Różę i brata Mozesę, którzy mieszkali razem ze mną. Bratowa leżała wtedy chora na tyfus. Kochanka Grzymka wywlekła ją z łóżka, kazała jej pójść do kopania kartofli, potem ją z powrotem zawołała, kazała ukraińskiemu milicjantowi wybić ją, potem drugi raz posłała, ale Grzymek sam kazał ją wrócić i zastrzelić na podwórzu, a brata w sadzie. Później kazał bratu Róży i memu szwagrowi, którzy przyszli do pracy do nas z drugiej wsi, aby zabrali zwłoki i wrzucili do jamy lodowni. Szofer nie pozwolił ich nawet położyć, tylko musieli rzucić i przysypać śmieciami. Mnie zaś Grzymek dał rozkaz, że nie wolno mi tych zwłok stamtąd ruszyć. Szofer kilka razy brał mnie do tej lodowni, pokazywał zwłoki i mawiał, że i ja tam będę leżał koło jego „rabina”.

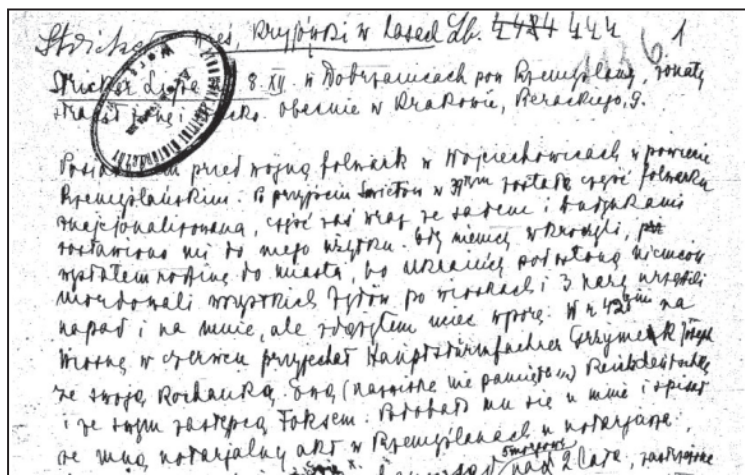
Kiedy tych dwoje zastrzelono byłem w polu. Po powrocie moim przyszedł Grzymek ze swoją kochanką naprzeciw i z uśmiechem powiedział mi, że der Moses und die Rosa die Leben nich mehr (Mozes i Róża nie żyją). Mówił, że chciał ich posłać do lekarza, ale oni zaczęli uciekać, wtedy kazał ich za to zastrzelić. Dodał, że wszystkie ich rzeczy należą do mnie i do żony, ale zaraz potem sam zabrał wszystkie rzeczy osobistego użytku, zboże, i inwentarz ich cały. Ja sam musiałem w dodatku szukać chłopów, by znieśli to wszystko do magazynu. I moje rzeczy i inwentarz żywy i martwy zabrał, tak że żona moja musiała wykradać kartofle, bo nie mieliśmy nic do jedzenia.

Potem byłem z żoną i dzieckiem jeszcze 5 tygodni, kiedy pewnego

dnia przyszła Żydówka do mnie przysłana od księdza ukraińskiego Lachowicza Gawriela, który mnie wezwał do siebie. Gdy przyszedłem ksiądz ostrzegł mnie bym uciekał, bo wie, że Grzymek czyha na moje życie i że spotka mnie los brata, a on nie chce mieć mojej śmierci na swym sumieniu.

Wysłałem więc wtedy natychmiast żonę z córeczką do Dobrzanicy, sąsiedniej wsi, sam zaś zostałem do wieczora, by nie zwrócić uwagi. Dopiero wieczorem, gdy Ewa po wydaniu mi dyspozycji udała się na spoczynek, wyszedłem tak jak stałem - niepostrzeżenie do Dobrzanicy, gdzie w ukryciu przesiedziałem 3 dni, poczym pojechałem w nocy do Przemyślan. Grzymek tymczasem ogłosił premię 10 tysięcy złotych za wytopienie i odstawienie mnie do niego.

Równocześnie objął Grzymek u Żyda Halperna Markusa w sąsiedniej wsi Ostałowice pasiekę i zebrał z niej miód. Kiedy na wiosnę 1943 r. przywiózł ze sobą swego pasiecznika, zabrał całą pasiekę na fure, by ją przewieźć na mój folwark. Rozkazał milicjantowi ukraińskiemu by Halperna, jego żonę i 13. letniego syna rozstrzelał, co też ten od razu wykonał.



Fragment pierwszej strony wspomnień Lipy Strickera. Napisał je w języku polskim po wojnie dla potrzeb Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Drogą do Przemyślan milicjanci ukraińscy wieźli Żyda złapanego na wiosce. Grzymek zszedł ze swojej bryczki, podszedł do fury i zaczął bić Żyda kijem po głowie tak długo, aż go zabił. Potem przewrócił furę, wrzucił trupa do rowu i tak go zostawił. Ludzie, którzy byli świadkami, i matka Halperna - ta zdążyła uciec - opowiadali o tym.

Grzymek pochodził z Chorzowa - jak mówił. W tym mieści są jeszcze Grzymkowie, jak widziałem podczas mej obecności [*po wojnie - J. W.*] A niedaleko cmentarza jest willa: na dole jest wizytówka: F. Grzymek i H.

Kiedy przybyłem z żoną, dzieckiem i matką do Przemyślan, miasto liczyło przedtem 6000 Żydów i nie było jeszcze getta. Powstało zaraz po naszym przyjsciu. Nie chciałem iść do niego i razem z grupą 30 ludzi poszliśmy do lasu. Wywieźliśmy co kto miał, zrobiliśmy sobie bunkier i przesiedzieliśmy tam niespełna tydzień. Gajowi wytropili nas, zabrali nam wszystko, chcieli nas wszystkich wystrzelać, ale wykupiliśmy się i puścili nas w nocy.

Kiedy przekradaliśmy się do getta, rozpoczęła się właśnie akcja. Wśród strzelaniny padło kilkunastu z naszej grupy, a ja z żoną i dzieckiem zdołałem umknąć do schronu w pewnym domu i tak wtedy ocaleliśmy. Potem żyliśmy w getcie aż do likwidacji w maju 1943 r. Podczas likwidacji straciłem siostrę z trojgiem dzieci i mężem. My siedzieliśmy w liczbie 18 ludzi w innym schronie 3 dni i 3 noce. Potem uciekłem z matką, żoną i dzieckiem, siostrą z dwojgiem dzieci i grupą około 100 ludzi do lasu ostałowickiego. Ja z żoną i dzieckiem, siostrą z jej trojgiem dzieci byliśmy w pewnym lesie, a matka drugą siostrą i jej trojgiem dzieci i mężem i resztą rodziny w innym. Matka zmarła w lesie, a tamci zostali wymordowani, nie wiem kiedy i w jakich okolicznościach.

W lesie żyliśmy do marca 1944 r. Żywność zdobywaliśmy jak się dało. Częściowo wypraszana, a przeważnie kradliśmy bo groziła śmierć przy ukazaniu się. Kilka razy były obławy na ten las, bo za śladem dochodzili zima, do każdego bunkra. Ze stu ludzi ukrytych w tym lesie uratowało się może 10. Nasz bunkier liczył 19 osób.

Pewnego ranka 2 marca 1944 r. Ukraińcy napadli na nasz bunkier. Trzech nas było na zewnątrz, bo trzymaliśmy straż. Wszyscy trzej zdołaliśmy się uratować. Ukraińcy podkradli się pod nasz bunkier, kilkaset może, tak, że nie można było ratować się. Ukraińcy wszystkich powyrzynali nożami, a najwięcej znęcali się nad dziećmi. Po ich odejściu wyszedłem z krzaków, gdzie byłem ukryty, i zaszedłem do bunkra, gdzie leżały zwłoki pomordowanych. Dziecko moje miało 10 ran zadanych nożem, 6 w piersi i 4 w plecach. Żona rozebrana. Tak samo zamordowana jak jej siostra i jej 3 dorosłe córki. Wszystko mogło trwać godzinę.

Krażyłem z uratowanym siostrzeńcem 3 dni po lesie i chcieliśmy ciała pochować, ale przyszli Ukraińcy, zawalili cały bunkier tak, że na

zewnątrz nie było nic widoczne. Uciekliśmy wtedy do Wojciechowic z powrotem, bo było mi wszystko jedno. Ukryliśmy się z siostrzeńcem u znajomego chłopca, któremu dobrze za to zapłaciliśmy. Siedzieliśmy u niego 2 miesiące w jamie pod szopą. Codziennie donosił nam litr zupy. Puchliśmy z głodu i w ostateczności wyszliśmy na ryzyko do przemysłańskiego lasu, gdzie wbrew oczekiwaniu spotkaliśmy sporo Żydów (około 200). Tam jakoś poradziliśmy sobie, zabrałem się do szewstwa i tak przetrwałem do końca wojny.

[1] W lipcu 1941 r. w Dobrzanicy kilkunastu Ukraińców zabrało z domów Żydów, wśród nich Leiba Strickera - właściciela karczmy, krewnego autora wspomnień, a może nawet brata, zaprowadziło do lasu i tam zamordowało. J. Wyspiański, *Ludobójstwo OUN-UPA*. Wyd. własne. Lubin 2019, str. 53.

Red. W czasopiśmie społeczno-kulturalnym gminy Trzebowniko z 2019 r. znajdującym się na stronie https://trzebowniko.pl /FCK/ GAZETRA %20GMINNA /Gazeta_Gminna_Trzebowniko_12_20.pdf jest artykuł Piotra Smotrysia pt. „Ks. Wawrzyniec Puchalski - życie i działalność”, o plebanie wsi Łąki i Wyżnian [str. 20 i 21]. Drugą część opracowania, jest związana z Wyżnianami.

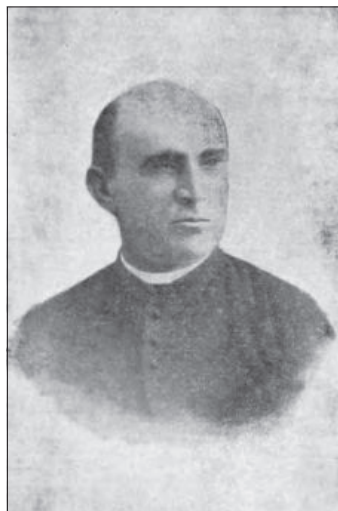
Ks. W. Puchalski - proboszcz w Wyżnianach

(...) Publikując *Drobne dzieje Łąki*, ks. Wawrzyniec Puchalski postanowił przeznaczyć całkowity dochód z ich sprzedaży na budowę wieży przy kościele w Łące. Książkę tę zadedykował nawet swojemu kołatorowi w osobie ordynata łańcuckiego, Romana hr. Potockiego. Liczył bowiem, że hrabia zechce dzięki temu pokryć przynajmniej część kosztów związanych z planowaną budową. Potocki jednak docenił oddanie ks. Puchalskiego w inny sposób, przydzielając mu w następnym roku probostwo w Wyżnianach na terenie Archidiecezji Lwowskiej. Była to parafia położona ok. 30 km na wschód od Lwowa i 9 km na południowy zachód od Glinian, ufundowana przez Jana Klusa 17 lipca 1400 r. W tym samym roku w Wyżnianach wybudowany został gotycki kościółek noszący wezwanie św. Mikołaja Biskupa. Budynek został poświęcony przez ówczesnego arcybiskupa halickiego Jakuba Strepę, który znany jest dziś bardziej jako

błogosławiony Jakub Strzemię.

Objęcie funkcji proboszcza wyżniańskiego 25 kwietnia 1893 roku było dla ks. Puchalskiego pewnego rodzaju nobilitacją. Mimo że wiązało się to ze zmianą diecezji, otrzymał on przy tym szereg ważnych funkcji. Jedną z nich było objęcie stanowiska plenipotenta dóbr metropolity lwowskiego, abp. Józefa Bilczewskiego. Pod koniec lat 90. XIX wieku ks. Puchalski objął stanowisko dziekana gliniańskiego, któremu oprócz Wyżnian podlegały pozostałe parafie wchodzące w skład dekanatu. W tamtym czasie były to: Gliniany, Hanaczów, Kamionka Strumiłowa (obecnie Kamionka Buska), Kutkorz, Milatyn Nowy, Tadanie, Żelechów Wielki (dziś Węlykosiłky). Ponieważ powierzone funkcje ks. Puchalski sprawował wzorowo, otrzymał tytuł kanonika honorowego Kapituły Lwowskiej. Innym wyróżnieniem było nadanie mu godności szambelana papieskiego, zwanego również prałatem. Ponadto z okazji 50. rocznicy święceń kapłańskich biskup przemyski Józef Sebastian Pelczar mianował ks. Puchalskiego honorowym radcą swego konsystorza.

Praca w Wyżnianach przyniosła ks. Puchalskiemu nie tylko zaszczyty, ale również szereg nowych wyzwań i obowiązków. Wynikały one głównie z tego, że nowa parafia liczyła 12 wsi, więc była bardzo duża zarówno pod względem obszaru, jak i liczby wiernych. Standard życia jej mieszkańców był niski, co wiązało się z wieloma problemami. Próbując im sprostać, ks. Puchalski prowadził aktywną działalność społeczną oraz kulturalną. Wspólnie z wikariuszem, ks. Jakubem Steinerem ufundował w Wyżnianach mleczarnię i odpowiednio ją uposażył. W 1909 roku z jego inicjatywy we wsi powstał dom ludowy, w którym mieściła się czytelnia polska oraz duża sala „na przedstawienia i zebrania gromadne”. Ponadto w budynku znajdował się sklep z piwnicą i magazynem. Po wykupieniu budynków w pobliżu kościoła, przeznaczył je na ochronkę dla biednych i osieroconych dzieci. W celu zapewnienia najmłodszym odpowiedniej opieki, sprowadził do Wyżnian Siostry Służebniczki NMP Starowiejskie.



Ks. Wawrzyniec Puchalski

Dodatkowo z inicjatywy proboszcza organizowano różne kursy i szkolenia dla gospodyń wiejskich.

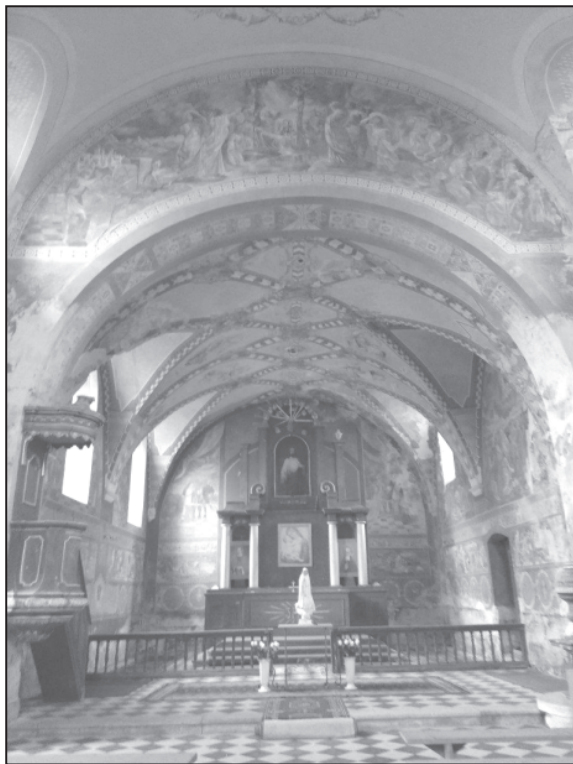
Mimo pełnionych funkcji i obowiązków, ks. Wawrzyniec Puchalski nadal znajdował czas na pisanie książek o tematyce religijnej. Oprócz wspomnianego już Żywota św. Onufrego... wśród jego publikacji wyróżnić należy m.in.: *Czytania różańcowe dla ludu*, *Czytania o uczynkach Miłosierdzia*, *Homilie na niedziele całego roku*, *Jubileusz, czyli lato miłościwe* oraz *Wierzę w Boga* w 52 naukach katechizmowych. Poza tym proboszcz wyzniański regularnie prowadził zapiski na temat historii swojej parafii.

W związku ze stale rosnącą liczbą wiernych coraz to rosła potrzeba budowy nowych świątyń. Dlatego na początku swojego pobytu w Wyznianach, ks. Puchalski zainicjował budowę kościoła w Pogorzalcach (obecnie Pohorylce), gdzie w niedługim czasie erygowano osobną parafię. Nadano jej wezwanie św. Wawrzyńca Męczennika, który był jednocześnie patronem ks. Puchalskiego. W tamtym okresie udało się też wybudować kościół dojazdowy w Sołowej (budynek przetrwał do dzisiaj jako cerkiew). Jesienią 1910 roku, jako dziekan gliniański i przedstawiciel arcybiskupa lwowskiego, ks. Wawrzyniec Puchalski dokonał poświęcenia kościoła pw. św. Jadwigi w Batiatyczach. Niestrudzony kapłan dążył także do wybudowania kościoła w Kurowicach oraz rozbudowy liczącego w tamtym czasie 500 lat kościoła w Wyznianach. Niestety plany te przerwał wybuch I wojny światowej.

W początkowej fazie wojny Wyzniany były miejscem licznych przemarszów wojsk austriackich oraz nacierających na zachód oddziałów kozackich i rosyjskich. Wobec zagrożenia życia miejscowa ludność kilkakrotnie opuszczała swoje domy ukrywając się w innych wsiach, zaś księża znajdowali schronienie we Lwowie. Na niezamieszkałym w tym czasie probostwie w Wyznianach dowódcy wojsk urządzali kwatery oficerskie, zaś wycofujące się wojska systematycznie plądrowały i rabowały gospodarstwa tutejszych chłopów. Co gorsza, z samych Wyznian do wojska wezwano aż 60 młodych mężczyzn. Mimo niesprzyjającej sytuacji, w 1917 roku ks. Puchalskiemu udało się wydać drukiem monografię *Drobne dzieje Wyznian*, która podobnie jak *Drobne dzieje Łąki*, była efektem wieloletnich badań historii parafii. Opis bogatej, bo ponad 500-letniej historii parafii kończy optymistyczna informacja o proklamowaniu Aktu 5 listopada 1916 roku, dającego autentyczną nadzieję na odzyskanie przez Pol-

skę niepodległości.

Sytuacja w Wyżnianach i okolicznych miejscowościach jednak wciąż była niezwykle trudna. Ks. Puchalski w trosce o swoje bezpieczeństwo musiał opuścić te tereny. Kierując się na zachód, udał się do rodzinnej Klimkówki, gdzie 29 września 1917 roku obchodził pięćdziesięciolecie kapłaństwa. W związku z tak ważną dla siebie rocznicą, odwiedził także dawną parafię w podrzeszowskiej Łące. Wśród tutejszej ludności rozprawdano w tym czasie *Dzieje Łąki* będące skróconą wersją monografii napisanej przez ks. Puchalskiego, wydaną specjalnie na okoliczność kapłańskiego jubileuszu byłego proboszcza. Dochód z jej sprzedaży został przeznaczony na pomoc poszkodowanym w czasie wojny. Wkrótce po tym ks. Puchalski powrócił do Wyżnian.



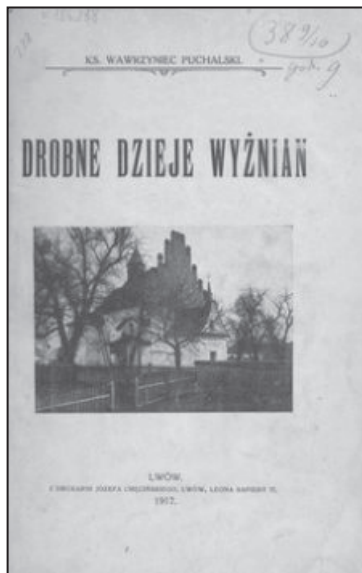
Zabezpieczony przed zniszczeniem kościół w Wyżnianach. Odbywają się w nim msze ekumeniczne i spotkania polsko-ukraińskie.
Fot. Adam Groblewski.

W 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, lecz jako państwo nie miała jeszcze wyznaczonych granic. Obszar Galicji Wschodniej włączono do nowo powstałej Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, na której stolicę wyznaczono Lwów. Choć główne walki toczyły się o miasto, nacjonaliści ukraińscy żywili również wobec Polaków mieszkających na wsi szczerą niechęć. Przyczyniło się to m.in. do represji wobec duchowieństwa łacińskiego, jako grupy mającej szczególny wpływ na ludność wiejską.

Niestety prześladowania dotknęły także

76-letniego wówczas ks. Wawrzyńca Puchalskiego. W listopadzie 1918 roku został on pojmany i wśród licznych szyderstw oraz upokorzeń przewieziony do Kurowic. Tam przez kilka dni jako więzień był przetrzymywany w chlewie. Następnie osadzono go w areszcie w Przemyślanach, gdzie przebywał do marca 1919 roku. Po kilkumiesięcznym okresie internowania ks. Wawrzyniec Puchalski został wypuszczony na wolność, lecz nigdy już nie odzyskał dawnej formy i pełni zdrowia.

Choć na omawianym obszarze sytuacja polityczna stopniowo była coraz bardziej spokojna, mieszkańcy wyniszczonych na skutek wojennych i nacjonalistycznych działań wsi musieli uporać się ze skrajną nędzą, głodem i szerzącymi się chorobami. Początkiem 1920 roku Wyżniany i okoliczne miejscowości dosięgła epidemia tyfusu plamistego. Poproszony o udzielenie ostatniego namaszczenia choremu Rusinowi, ks. Wawrzyniec Puchalski spełnił swój obowiązek, zarażając się przy tym śmiertelną chorobą. Zmarł 15 marca 1920 roku przeżywszy 78 lat, w tym 53 w kapłaństwie. W kilka miesięcy później, 28 września zmarł na skutek dyzenterii wikariusz wyżniancki, 26-letni ks. Józef Sobolewski. Obaj księża spoczywają we wspólnym grobie, który zachował się na cmentarzu w Wyżnianach do czasów współczesnych.



Książka opracowana i wydana przez ks. Wawrzyńca Puchalskiego.

Józef Wyspiański

Wykazy osób z parafii świrskiej deklarujących wstrzeźliwość w spożyciu alkoholu (cz. I)

W państwowym archiwum przemyskim znajduje się interesujący dokument (sygnatura 56/2441/O/86/219), a mianowicie *Spis osób nale-*

żących do towarzystwa wstrzeźliwości w parafii Świrza obrządku łacińskiego od Roku 1844. Ma postać książki o 54 stronach, przy czym brakuje ostatnich kartek i okładki [1].

Akcję w parafii zapoczątkował ks. Ludwik Orzechowicz i kontynuowali ją następnymi proboszczowie świrscy: Tomasz Kintzel, Michał Jaworski, Kasper Kiełbiński i wikarzy. Organizatorzy ograniczania spożycia alkoholu w parafii raczej nie byli w dobrych stosunkach z właścicielami ziemskimi, ponieważ pomniejszali ich zyski związane z przerozem zboża na alkohol. Również sprzedawcy wódki, żydowscy dzierżawcy gospód wiejskich, tracili na tej akcji. Daty powstania pierwszych stowarzyszeń wstrzeźliwych wiązały się jeszcze przed zniesieniem pańszczyzny.

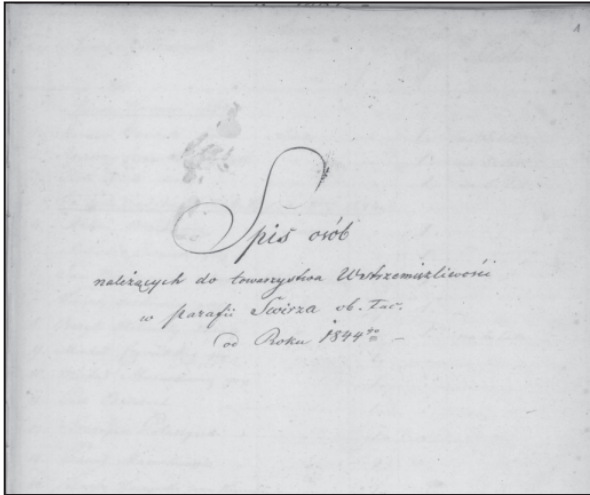
W kilku miejscach w książce są wpisy lustratorów (zapewne duchownych), którzy sprawdzali postęp w rozwoju akcji. Są to daty: około 22.5.1845 r., 6.01.1846 r., 26.01.1847 r., 19.05.1892 r. i 10.07.1893 r.

Pierwszy wykaz, zajmujący strony 2-35, zawiera nazwisko i imię osoby, miejsce mieszkania, szlubowanie „na mierność” lub całkowitą rezygnację picia wódki oraz adnotacje.

Osoby ślubujące pochodziły z wiosek należących do parafii świrskiej: ze Świrza, Chlebowic Świrskich, Kimirza, Siedlisk, Niedzielisk, Kopania i Gniłej, a także nieliczni z Żędowic, czy z innych miejscowości. Do grona wstrzeźliwych zgłaszały się kobiety i mężczyźni. W przypadku nazwisk kobiet dopisywano czyją była żoną lub wdową. Przy nazwiskach mężczyzn dopisywano, że był gospodarzem bądź wykonywał jakiś zawód, albo czyim był synem.

Numerację uporządkowaną prowadzono prawie dla wszystkich zgłaszających się od 1 aż do liczby 1274, czyli do dnia 30 listopada 1845 r. Na stronie 34, po numerze 1262, brakuje kolejnej numeracji, nie wiadomo, dlaczego przy następnych nazwiskach brak liczby, zaś na następnej stronie niekiedy wprowadzono nową, na krótki okres. U dołu każdej strony wpisywano ołówkiem liczbę deklarujących wstrzeźliwość „na mierność” lub całkowitą rezygnację ze spożycia alkoholu na deklarowany okres: jeden rok, dwa lata, pięć albo i więcej.

Pierwsze zapisy zanotowano w listopadzie 1844 r. i zawierały trzy nazwiska ze Świrza: Agnieszkę i Stanisława Czerneckich i Piotra Wiatra (służącego). Stanisław był kowalem. Wszyscy podjęli decyzję całkowitej rezygnacji ze spożycia alkoholu na okres pięcioletni.



Fragment pierwszej strony tytułowej.

Pod datą 8 grudnia wpisanych jest 41 nazwisk. Pośród nich jest Jan Mieńkusiewicz z papierni (Chlebowice Świrskie) i Jan Olszewski także z papierni, choć nie wiadomo, co kryje się pod tą nazwą.

Pod następnymi datami zanotowano nazwiska (w nawiasie podano zawód niektórych osób lub miejsce zamieszkania):

15 grudnia 1844 - 8 nazwisk (Wacław Zadwórny ze Świrza, parobek i Wincenty Petryszyn z Chlebowic Świrskich, parobek). 22 grudnia - 3 nazwiska. 26 grudnia - 24 (Jan Schill - kolonista, Franciszka Surmacz - sierota, Szczepan Mitraszewski - krawiec). 29 grudnia - 32 (Jan Kisielewicz - urlopnik(?). 30 grudnia - 1 (Ignacy Mudrak - pollicion?).

1 stycznia 1845 r. - 34 (Kasper Medycki - urlopnik, Marianna Czerniak, wdowa - akuszerka, Leopold i Ludwik Malińscy ze Świrza, synowie Franciszka, rezygnują z picia wódki przez 5 lat, a Szymon Czerniak przez rok). 5 stycznia - 22 (Elżbieta Kalimończuk - sierota, Mathias Benisch z Kimirza - kolonista. 6 stycznia - 30 (Jędrzej Dżugaj - organista). 12 stycznia - 40 (Teodor Kościółkiewicz - kucharz). 19 stycznia - 28 (Piotr Stokrocki - służący, Franciszek Skibiak - niemy). 26 stycznia - 21 (Mariana Lipska z Chlebowic Świrskich zadeklarowała zupełną rezygnację z picia wódki przez 6 lat). 29 stycznia - 9 (wszyscy z Tuczej). 2 lutego - 29 (Jan Mazur - stolarz, Helena Jakimowicz - sierota).

13 marca 1845 - 47 (Joanna Pilna - sierota, Józefa Sawicka - sierota, Małgorzata Widecka - sierota). 14 marca - 82 (Magdalena Kleszczyńska - sierota, Tekla Kurowicka - sierota, Jan Saitzek - rewizor(?), Jan Żółtański - kościelny). 16 marca - 20. 17 marca - 47 (Jan Bryniewicz - służący). 18 marca - 98 (Ignacy Mazurkiewicz - sierota, Wiktoria Pietyn -

służąca, Marianna Burban - służąca). 19 marca - 47 (Michał Winnicki - kucharz). 20 marca - 56 (Jan Łabiak - służący). 25 marca - 73. 26 marca - 8. 28 marca - 2 (Piotr Bogdański, kucharz z Żędowic, z żoną Ludwiką). 30 marca - 13. 31 marca - 4.

3 kwietnia 1845 r. - 3. 4 kwietnia - 4. 5 kwietnia - 3. 6 kwietnia - 30 (Wiktoria Kościów z Czupernosowa). 10 kwietnia - 3. 11 kwietnia - 8. 12 kwietnia - 21. 13 kwietnia - 26. 15 kwietnia - 27 (Wojciech Sobolewski z Niedzielisk obiecał nie pić alkoholu przez 5 lat). 16 kwietnia - 14 (Wawrzyniec Malski ze Świrza zdecydował się nie spożywać alkoholu przez 3 lata). 17 kwietnia - 12. 18 kwietnia - 12. 19 kwietnia - 31. 20 kwietnia - 25 (Mikołaj Kościelewski z Tucznej - furman, Jędrzej z Siedlisk - parobek, Katarzyna Stefaniszyn ż. Grzegorza z Ostałowic, rel. grec.). 21 kwietnia - 21 (Piotr Moros i Józef Zadwórny z Chlebowic Świrskich - urlopnik). 22 kwietnia - 9. 23 kwietnia - 6. 24 kwietnia - 15. 25 kwietnia - 10. 26 kwietnia - 7 (Michał Pawłowski ze Świrza - służący, Marianna ze Świrza, nieznamiona służąca). 27 kwietnia 1845 r. - 4. 28 kwietnia - 27 (Paweł Mazurkiewicz z Zadębiny). 29 kwietnia - 7 (Antoni Mazurkiewicz ze Świrza zadeklarował nie spożywanie alkoholu przez 6 lat). 30 kwietnia - 9 (Jan Antonowicz ze Świrza - official.).

Cdn.

[1] Walka z alkoholizmem na ziemiach polskich ma długą tradycję. Zarówno organizacje świeckie, jak i religijne, już w czasie zaborów zakładały różnego rodzaju towarzystwa trzeźwościowe oraz związki abstynenckie.

Akceptowania pijaństwa, zwłaszcza wśród chłopów, mają swe społeczne oraz historyczne podłoże. Obowiązujące do XIX wieku „narzuty propinacyjne” (tzn. przymus konsumpcji trunków pochodzących z gorzelnii pana). Wiązały się z tym, że każda rodzina poddańcza (oczywiście za opłatą) była zmuszona w ciągu roku do wypicia określonej ilości alkoholu. Wpływało to bez wątpienia niekorzystnie, nie tylko na stan gospodarki, ale również na kondycję moralną ludności – społeczeństwo po ponad stu latach zaborów miało ogromne kłopoty z przestrzeganiem norm społecznych. Upijanie się stanowiło więc ogromny problem, było niechlubnym zwyczajem.

Bardzo duże znaczenie społeczne miała akcja trzeźwościowa, którą zainicjował w Piekarach Śląskich ks. Jan Alojzy Ficek w 1844 r. Alkoholizm był powszechną plagą. Właściciele ziemscy czerpali niemałe dochody z przemysłu wódczanego, władze państwowe zyskiwały podatki, a dzierżawcy gospód wiejskich zarabiali na sprzedaży. Powodowało to łatwość w dostępie chłopów do alkoholu i jego ogromne spożycie. Ilona Błaszczuk, *Walka Kościoła katolickiego z pijaństwem i alkoholizmem w latach 1930–1939*. Acta Universitatis Nicolai Copernici.

Red. Tekst poniższy jest fragmentem pracy (maszynopis) J. Kamińskiego „Wicyń” - Ruch oporu w okresie okupacji hitlerowskiej”. Ukazał się w czasopiśmie „Wicyńskie Zeszyty” numer 14 z 2022 r., str. 61-63. Treść zawiera opis działania wicyńskich żołnierzy Istrebitielnego Batalionu (IB) na terenie pow. Przemyślany. Z opisu nie można określić daty akcji. Dziękujemy redaktorowi, p. Andrzejowi Krupie, oraz właścicielce tekstu za przyzwolenie przedruku.

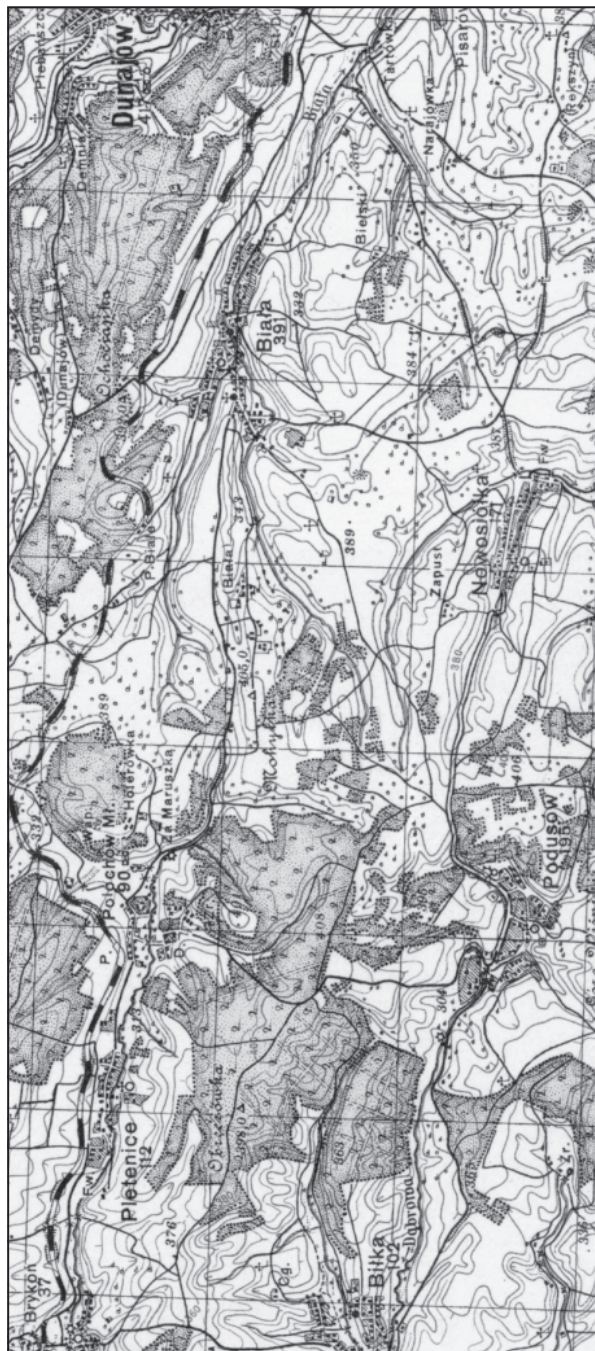
Jan Kamiński

Udział wicyniaków w likwidacji band UPA (cz. II)

Pierwsze dwa dni działań upłynęły w spokoju. Pododdziały nasze rozlokowały się w wyznaczonych wioskach, zajęły pozycje obronne i oczekiwały na dalsze dyspozycje od kierownictwa sztabu akcji.

W trzecim dniu działań poszczególne kompanie IB rozpoczęły penetrację wszystkich zagród chłopskich znajdujących się w pierścieniu objętym akcją. Kompanie IB podzielono na kilkusobowe grupy, które kolejno wchodziły do każdej zagrody chłopskiej i przeprowadzały szczegółową kontrolę osób zamieszkałych, legitymując wszystkich obecnych mieszkańców. Bezwzględnie zatrzymywano mężczyzn w wieku obowiązkowego poboru do wojska. Jednym z głównych zadań żołnierzy IB było ujawnienie kryjówek i magazynów banderowskich. Nie była to pierwsza próba sprawności wicyńskich żołnierzy IB. Trudne zadania wykonywane były w tempie frontowym, niejako w marszu. Nie było czasu na przemyślenia i przygotowywanie programów akcyjnych. Bieg wydarzeń wymuszał konkretne i niezwłoczne działania. Ostra zima pochłonęła wiele ofiar w naszych ludziach, zwłaszcza wśród niewytrzymujących zimnego marszu w nieznane. Dniem i nocą w dużej mierze zwracano uwagę na własne bezpieczeństwo osobiste.

W każdym miejscu i czasie czyhała śmierć na żołnierzy IB. Banderowcy byli bezwzględni, strzelali z ukrycia z broni automatycznej, rzucali granatami, oddawali znaki ostrzegawcze pociskami sygnałowymi. Najbardziej niebezpiecznymi były wieczory i noce. Wicyńscy żołnierze IB pomagali sobie nawzajem, zwłaszcza przy pokonywaniu trudnych przejść, penetracyjnych czynności, ochrony osobistej itp. Swoje obowiąz-



Fragment mapy topograficznej terenu objętego działaniem kompanii Istrebitełnego Batalionu z Wicynia.

ki wykonywaliśmy bardzo sumiennie. Młodość i entuzjazm sprawiały, iż regeneracja sił zajmowała niewiele czasu. Wszyscy żołnierze IB wykonywali swe obowiązki w zgodnym rytmie, w imię lepszej przyszłości, zasługując na szacunek i uznanie przez władze rejonowe.

Akcja likwidacyjna grupy UPA „Biłe” przebiegała pomyślnie. Strat w ludziach po naszej stronie nie było. Najgorsze były noce. Powtarzające się od czasu do czasu serie wystrzałów pręły mroźne powietrze. Krótkie godziny snu z pistoletem i automatem przy sobie były zasadą tamtych dni. Brak było możliwości na uzyskanie jakiegokolwiek wiadomości o kryjówkach, magazynach broni i żywności UPA. Wśród rozpytywanych miesz-

kańców danej wsi panowało bezwzględne milczenie „Niczowo nie znaju”, „zabijcie mene, ja wam niczowo ne skażu” [*nic nie wiem, zabijcie mnie, a ja i tak niczego nie powiem*] - tak brzmiała odpowiedź na nasze pytanie.

Pierwsze dni działań likwidacyjnych nie przyniosły nam prawie żadnych wyników, ale następne dni naszego szperania po ludzkich śladach potęgowały nasz dorobek akcyjnych działań. Nie pomógł zbandyciały terror ukraińskich nacjonalistów. Miała już dość cierpień znaczna i niewinna miejscowa ludność. W poufnych, okolicznościowych rozmowach z niektórymi mieszkańcami danych wsi wicyńscy żołnierze IB zaczęli uzyskiwać cenne informacje o istniejących bunkrach podziemnych band UPA we wsi Biała, Błotnia, Narajowice [*Narajów*] i innych. W ten o to sposób rozpoczęła się stopniowa likwidacja groźnej „dywizji” UPA „Biłe”.

W czasie dwutygodniowej akcji przepenetrowano wszystkie zagrody chłopskie w Nowosiólkach, Błotni, Janczynie, Podusowie, Wołkowie, Wypyskach, Narajewie i we wsi Białe. Wykrytych i zlokalizowanych zostało kilkanaście bunkrów i kryjówek podziemnych UPA, najczęściej urządzonych pod stodołami, szopami i komórkami gospodarczymi. Mimo bardzo skrupulatnej kontroli, tzw. „czesanki”, nie udało się naszym siłom ująć za wielu banderowców. Ogółem w penetrowanych wioskach i leśnych kryjówkach ujętych zostało około 90 „strilców” UPA. Zatrzymanych zostało około 40 mężczyzn przypadkowych w starszym wieku, których po wyjaśnieniu trzeba było zwolnić. Znacznemu spustoszeniu uległa wieś Biała [*Biale*] – siedziba tzw. dywizji UPA „Biłe”. Kierownictwo akcji postanowiło wysiedlić z wioski Biała około 60% miejscowych rodzin chłopskich, właścicieli zabudowań, w których banderowcy urządzili sobie kryjówki, magazyny broni, zboża i tłuszczów. Podobnie postępowano w Nowosiólkach i Podusowie.

Największym sukcesem wicyńskich żołnierzy IB było wykrycie, a następnie zlikwidowanie starannie urządzonego, polowego szpitala UPA w masywie leśnym na pograniczu Podusowa i Nowosiółek. Upowcy wykorzystując istniejący w dobrym stanie murowany, wojskowy bunkier poniemiecki, dobrze zamaskowany drzewostanem i ukrytymi włączkami, urządzili dla swoich celów szpital polowy z komfortowym wyposażeniem i bogato zaopatrzonym magazynem żywnościowym. Wykrycie i zlikwidowanie polowego szpitala banderowskiego zadało upowcom decydujący cios, który wpłynął na stopniowe zapoczątkowanie upadku organizacyjnej działalności UPA w tych okolicach.

Uwagi na temat twórczości Antonio Tavellego

Włoski artysta, który tworzył na terenie Rzeczypospolitej w latach 60. i 70. XVIII w., był tematem pracy licencjackiej Katarzyny Mytych na Uniwersytecie Jagiellońskim, obronionej w 2019 r. Artysta tworzył zarówno obrazy olejne jak i dekoracje ścienne. Na tych ostatnich skupiono się w niniejszej pracy. Jediną realizacją znajdującą się obecnie w granicach Polski jest dekoracja groty pałacowej w Jabłonnie.

Pozostałe prace - nieistniejące freski w pałacu arcybiskupów lwowskich w Dunajowie i w eremitorium Sierakowskiego przy katedrze lwowskiej oraz uszkodzone iluzjonistyczne malowidła we wnętrzach kościołów parafialnych: p.w. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Dunajowie i p.w. Wniebowzięcia NMP w Nawarii - znajdują się na terenie Ukrainy.

Autorka uporządkowała dotychczasowy stan badań na temat twórczości, podała jego krótką biografię, następnie omówiła każdą z zakresu malarstwa monumentalnego artysty, w podsumowaniu skupiła się na określeniu najważniejszych cech malarstwa Tavellego w oparciu o omówione dekoracje budowli znajdujących się zarówno w Polsce jak i na Ukrainie

Głównym tematem pracy jest próba poszerzenia zakresu fragmentów malowideł przypisanych Tavellemu (w przypadku Dunajowa: co wcześniej nie było wcześniej możliwe z uwagi na sytuację polityczną przed rokiem 1989, złe zachowanie fresków oraz słabą dokumentację fotograficzną), opisanie, określenie aktualnego stanu zachowania, a także krótka analiza dekoracji malarskiej w kościołach w Dunajowie i Nawarii.
(Wybrał J. W.)



Antonio Tavello, *Św. Jan Nepomucen*, płótno, olej. Źródło: https://muzeum-zamojskie.pl/wp-content/uploads/2010/12/zmcz4_foto1.pdf

Bal w Czortkowie

U Czortkowa w wielgim sali,
gdzie się każdy sufit wali,
odbywał się bal nad bali.
W nowych spodni i buciki
schodzili się urzędniki.
Żeby było do zjedzenia,
każdy wziął sy do kieszenia:
ten dwie nogi,
ten pierogi,
inny śledzia.

A kobita, jak gdzie która,
jedna flaszki z konfitura;
druga znowu dla bufetu,
parę jajek za gorsetu.

...

Wszyscy goście posiadali
U Czortkowa wielgim sali;
a mężczyźni w jednej chwili
chór mieszany założyli.
I śpiewali, co potrzeba,
patrz Kościuszek na nas z nieba.

Homdrus-homdrus huczą basy,
jeden stuknie sy obcasem;
i nikt nawet nie uczuje,
jak nieszczęście się gotuje.
A nieszczęście tak się stało:
jednej pannie się trafiało,
że od głowy, aż do nogi
upadnięła na podłogi.

Facet podniósł ją powoli;
był jak tyczek od fasoli.
Już mazurek był w połowie,
jak do niego ona powie:
niech no pan popatrzy z bliska,
za co mi tak z nogi śliska.

On ja lekko wziął za plecy,
by na sali nie był hecy,
podniósł suknię i podspodki
i zagładną aż do środki.

Od podwiązki do pończoszki
coś żółtego ciekło troszki.
On choć i mu nikt nie kazał
wziął chusteczkę i rozmazał.

Ona widzi te robotę
I uciekać ma ochotę.
I krzyknęła paskudniku,
coś mi zrobił na buciku.

Komitetu! On mi plami,
każ wyrzucić go za drzwiami!
Gość się zmieszał w te sekundy,
zdejmił z kółek swoje bundy,
czapkę wyjmiał sy z kieszeni
i wynosił się do sieni.

A na sali krzyczą damy,
gwałt taty, gwałt mamy.
Jeden maca za kolano,
czy gdzie kostki nie złamano.
Starszy członek z komitetu
kazał rozpiąć jej gorsetu;

może mocno się zcieśniła
i żadołek rozduśiła.

Ona padła na piduszki,
jak ten listek od pietruszki,
jak ta ściana tak zbledniła,
gwałt krzykła, i umrzyła.

W jednej chwili od staniku
rozpinają się guziku...
A na sercu z prawej strony
siedział jajek rozduşzony.

Tak to było w owym bali;
a kto pragnie wiedzieć dalej,
niech zapyta tej dziewicy
co miał w gorset jajeczniczy.

Red. Wierszyk nadesłał p. Bolesław Kopociński.

Listy do redakcji

Szanowny Panie Józefie,
Bardzo dziękuję za przysłany mi kolejny numer „Spotkań”. Lekturę pisma, korzystając z Pańskiej uprzejmości rozpocząłem ok. cztery lata temu. Wszystko zaczęło się od poszukiwania śladów moich dziadków Mikołaja i Marii Tarnowskich małżonków Kowal i stryjostwa – rodzeństwa Jana i Marii dd. Kowal, mieszkających w powiecie przemysłańskim (Kurowice, Ostałowice) i we Lwowie, zaginionych bez wieści w latach czterdziestych ub. wieku, a także mojego nieży-

jącego ojca, Stefana, który po kampanii wrześniowej trafił do niemieckiej niewoli i po wojnie osiadł w Łodzi, a w rodzinne strony już nie powrócił.

Nie mając żadnych materialnych dokumentów ani prawie żadnych przekazów ustnych odnośnie przodków ze strony mojego ojca, prowadzę kwerendę w archiwach polskich i ukraińskich, niestety, jak dotąd bez skutku.

Publikowane przez Pana artykuły są, więc dla mnie bogatym źródłem wiedzy o historii tych ziem, ludzi tam zamieszkałych i panujących klimatach. Na ich podstawie szkicuję przy-

Albin, dr. med. Weter. König Pin-
kas. Sekr. Posada opróżniona.
Kanc. nam. Tilzer Rudolf, przyzd.

Oddział budowniczy. Odnośne
sprawy załatwia oddział budow-
niczy c. k. Starostwa brzeżań-
skiego.

Oddział podatkowy: Insp. podat.
- Baboń Antoni. Konc. Skarb. - Sli-
wiński Tadeusz.

Urząd podatkowy: Pobor. - Stahl
Ferdynand. Kontr. - Jasiński
Włodzimierz. Ofic. - Zajączkowski
Maryan. Adj. - Opolski Kazimierz.
Prakt. - Herrman Zygmunt i Ty-
lawski Apolinary. 1 woźny.

Urząd podatkowy w Glinianach:
Pobor. - Szumski Stanisław. Kontr.
- Schreiber Izaak. Adj. - Horniak
Stanisław. Prakt. - Czemeryński
Julian i Saling Ludwik. 1 woźny.
(*Gazeta Lwowska* z 1896 r.)

+ + + + + + + +

W archiwum Ośrodek Karta
znajdują się wspomnienia prze-
myślanki - Janiny Kandefer (z do-
mu Zarawska). Dotyczą lat 1918-
1939. W „Spotkaniach Świrzan” jej
teksty były publikowane wielo-
krotnie, jako 3 częściowe wspo-
mnienie, artykuły dot. jej udziału w
konspiracji akowskiej i sporadycz-
ne uwagi o treściach zawartych na
stronach tej gazetki. Zdaje się, że
znajdujące się w Ośrodku Karta są
obszerniejsze od publikowanych,
dlatego redakcja będzie starać się
o uzyskanie kopii wspomnień i za-
prezentowanie w biuletynie.

+ + + + + + + +

W Tygodniku Rolniczo-Przemy-
słowym nr 38 z 1857 r., wycho-
dzącym w Krakowie, znajduje się
artykuł księdza Ignacego Lissaja
pt. *Dwadzieścia dni w pasiece* p.
Lubienieckiego w Przemyślanach.
Autor jest pod dużym wrażeniem
stosowanych metod, uzyskiwa-
niem bardzo dobrych wyników
w produkcji miodu i prowadzeniem
szkoły dla pasieczników, do której
zgłaszają się kandydaci z całej Ga-
licji.

+ + + + + + + +

Wykaz lekarzy w pow. prze-
myślańskim w r. 1896: Herman
Barbag (Przemyślan), Cyryl
Dolnicki (Gliniany), Jan Moch
(Hanaczów), Albin Waligórski
(Przemyślan).

+ + + + + + + +

Wraz z numerem 163 „Spotkań
Świrzan” ukazało się 7500 stron
różnych wiadomości o naszych
Kresach.

+ + + + + + + +

Menachem Mendel z Prze-
myślan (1728? – 1772?) – uczeń
i towarzysz Baal Szem Towa. W
1764, razem z innym członkiem
chawury BeSzT-a, Nachmanem z
Horodenki, wyjechał do Ziemi
Świętej. Osiadł w Twerii. W dziele
Sziwche(j) Ka BeSzT nazywany
jest „rebe Mendlem z Cekinówki”.
Mendel należał do skrajnych „en-
tuzjastów” w gronie uczniów Be-
SzT-a, którzy ekstatyczną mo-
dlitwę i „rozognienie” (Hitlahawut)
stawiali wyżej od spełniania Prawa

i często to publicznie manifestowali. Znany był z antynomijnych wypowiedzi. Nauczał między innymi, że popełniając grzech z właściwą intencją, uświęca się go, a studiowanie Tory odciąga jedynie myśli od Boga, przeszkadza w bezpośrednim kontakcie z Nim i dlatego nie jest do pogodzenia z prawdziwą pobożnością. Z tego powodu zalecał wycofanie się z życia społeczności, porzucenie zajęć dnia codziennego i skupienie się na mistycznej kontemplacji. (Jan Doktor, Żydowski Instytut Historyczny)

+ + + + + + + +

(Z Przemyślan). Jak w wielu miejscach, tak i tutaj cholera w zaskakujący sposób grasowała, a pojawiwszy się na początku lipca, tak się wzmogła, że dziennie 10-15 osób umierało. Używano różnych środków, między innymi i apteczki homeopatycznej, zawierającej 10 środków przeciw cholercze. Stosując się według instrukcji przy niej zawartej, prawie przy każdym wypadku okazał się skutek pożądany. J. S. Apteczka homeopatyczna znajduje się zapasem w aptece Mikolasza we Lwowie i kosztuje 3 złr. (*Przyjaciel*

domowy z 24.08.1855 r.)

+ + + + + + + +

Po skandalu w kanadyjskim parlamencie z oklaskiwaniem byłego członka kolaboracyjnej ukraińskiej dywizji ochotniczej Waffen-SS Galizien ujawniono, że jego kolega z tej formacji został odznaczony Orderem Kanady i pełnił funkcje kierownicze na Uniwersytecie Alberty i w polityce.

W związku ze sprawą i zainteresowaniem społecznym, kanadyjskie media zwróciły uwagę na innego „weterana” Waffen-SS Galizien, nieżyjącego już Petera Savaryna (Petro Sawaryna). W latach 80. XX wieku był on kanclerzem Uniwersytetu Alberty, a także przewodniczącym Postępowo-Konserwatywnej Partii Kanady w prowincji Alberta. Co więcej, w 1987 został odznaczony Orderem Kanady, wysokim cywilnym odznaczeniem państwowym. Sawaryn zmarł w 2017 roku, w związku z czym, zgodnie z przepisami, odznaczenie zostało automatycznie unieważnione.

Uniwersytet Alberty w Edmonton zwrócił 30 tys. dolarów, które rodzina Jarosława Hunki przekazała uczelni w 2019 roku.

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 173. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, II 2025 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.